

NAUCZYCIELKA

TADEUSZ MICIŃSKI



Tadeusz Miciński

Nauczycielka



Fundacja FESTINA LENTE

2 września.

Otóż jestem na pensji.

Zaczynam od zapisania swych wrażeń, aby siłę ich rozproszyć przez refleksję... Uczuciom swoim chcę dać reprezentację, aby nagłym wybuchem rewolucji nie zaskoczyły mnie zniecka.

Chodźcie, chodźcie moje smutki, tęsknoty, nieokreślone marzenia — do tego niewodu, w którym pośniecie. Taki los ryb i wszystkiego, co żyje. Więc i ta śmieszna potrzeba, która wychodzi z serca blada, tęskna jak Goplana i chwyta się pierwszego sznura żurawi — zginąć musi...

Nie mogę uwierzyć, żeby na dworze panował jasny dzień wrześniowy! Zegar mojej duszy pospieszył się i wydzwania wichrem listopadowym żałobne pieśni, targa gałęziami obnażonych drzew, szumi liśćmi — to moje zwiędłe pragnienia.

Ha, ha! Nastrój cmentarnej ballady! Gotowa bym się śmiać do rozpuku, gdybym miała przed sobą widzów i gdyby ci widzowie mnie obchodzili... Kurtyna zapadła, aktorka została sama i może cierpieć swobodnie. Chciałabym głowę położyć na kolanach twych, zmarła matko, wypłakać się i zasnąć snem

nieprzebudzonym. Bo, widzisz, jestem chora i żyć nie chcę!

*Trochę w tym wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w kraju mnożą,
Trochę tej wiecznej w życiu samotności...*

Samotność... niegdyś mi z nią było dobrze. Prawda, że wtedy cały świat mieściłam w sobie, a dziś świat cały za mną pozostał. Stąd mi jest źle, smutno, tęskno.

Widać, że człowiek nie może bezkarnie z jednej atmosfery duchowej przenosić się do drugiej, musi przebyć chorobę gorączki, majaczenia, bezsenności, utratę sił, apatię.

Zdaje się, że ktoś już to powiedział, zatem, że ktoś tak czuł... Mniejsza o to. Obojętną jest mi świadomość, że na tym świecie, gdzie nie ma już nic nowego, nawet cierpiąc, musimy kogoś naśladować.

5 września.

Odebrałam list od Halszki.

Pisze mi, że nad Rivierą spędzają czas wśród zieleni eukaliptusów i pomarańczy, a w nocy księżycowe kołyszą się łódką na miękkich, granatowych falach śródmorza. Dlaczego tak szczegółowo opisuje mi swą miłość? Konrad wydaje się jej utajonym, w powłokę ludzką przybranym bóstwem. Śmieszne są te młode żony: przed ślubem jeszcze zachowają pewną

zdolność krytyki i myślenia, ale potem — na długie kilka tygodni rozlewają się w jedno jezioro upojenia i dźwięczą monotonną kaskadą miłosnej egzaltacji.

Podobno miłość jest zręcznym fortem natury, dążącej do zachowania gatunku. Leon twierdzi, że w stanie zdrowym jest to rostbef *en garni*, zwykłe, czerwone mięso pod przykryciem zielonych sałat i złotych rydzyków.

Nie chcę pisać dłużej — jestem zdenerwowana, zacznę się przytłumiać poprawianiem kajetów.

* * *

Głowa mnie znów bolała silniej jeszcze niż zwykle. Zobaczyła to nasza przełożona i powiada: „Niech pani położy się lub wyjdzie na spacer, my tu panią zastąpimy. Do życia pensyjnego trzeba się dopiero przyzwyczaić... Troszkę u nas jest hałasu i gwaru.”

Troszkę gwaru! O szóstej rano budzi przeraźliwy dzwonek, zaczyna się powtarzanie lekcji z pensjonarkami, wszystkie siedem fortepianów i cztery pianina zaczynają bębnić... O ósmej względna cisza — panny wychodzą na spacer. Potem lekcje do trzeciej — godzina spaceru, obiad — i znów korepetycje, brzęczenie wszystkich fortepianów do dziewiątej. Ot i teraz — w sąsiednim pokoju uczy się ktoś mazurków Szopena, trochę dalej wygrywają etiudy Lütschga, a z daleka dochodzą mnie zbite dźwięki kilku utworów, granych jednocześnie... Prawdziwe piekło.

Gdy wieczorem kładę się do łóżka, doznaję wrażenia, jakby cały pokój ze mną się kołysał, a potem wszystko zaczyna zapadać w jakąś miękką, wełnistą głębinę, w jakąś bezmyślność i beczuciowość.

Zapewne sen jest przedsionkiem do czegoś lepszego.

„Lepiej siedzieć niż stać; lepiej spać niż czuwać, a najlepszą jest śmierć”.

* * *

Odebrałam list od Stefka... Mój drogi bracie — nie zapomnę ci nigdy tego szczęścia, jakieś mi wyrządził swoim dobrym listem! Donosi mi o swych zajęciach uniwersyteckich, przygotowuje się do kolokwiów i w ciągu dalszym pisze rozprawę. Ma nadzieję zdobyć stypendium, „a wtedy, moja droga, lata uniwersyteckie przeminą szybko i zostawią głęboką, dobrze zaoraną bruzdę w umyśle moim... Życie na niej sadzić będzie różne trawy i zboża, a jeśli się uda plon dobry — do ciebie, najdroższa, będzie on należał”.

Wybacz mi, braciszku, ten mój egoizm bezgraniczny i słabość — nie duszy, ale nerwów! Skarżyłam się na samotność, gdy mam ciebie... O, gdybyś wiedział, jaka jestem już spokojna i odważna.

Do pracy!

* * *

(W nocy). — Pensja pogrążona we śnie. W tym samym pokoju, oddzielone parawanami, stoją łóżka czterech małych pensjonarek. Lubię dzieci... Stefek utrzymuje, że według Galla, mam silnie rozwinięty gruczoł instynktu macierzyńskiego. Po co szukać gruczołów, gdy każda kobieta ma ogólną potrzebę kochania — ale niekoniecznie własnych dzieci, własnej rodziny.

Dn. 22 września (w nocy).

Godzina druga. Zaczytałam się, nie spostrzegając, że tak późno.

Miasto śpi, cisza. Otworzyłam okno i patrzyłam długo na spadające gwiazdy.

Myślałam, ile wieków krążą w ciemności, aby na krótką chwilę w atmosferze ziemskiej zabłysnąć, zgasnąć — i znów szybować w bezgraniczach. Czyżby i nasza ziemska świadomość była tylko błyskiem chwilowym wśród olbrzymiej drogi istnienia ciemnego, to jest nieujmowanego przez nasze zmysły?

Pytanie, jak beczka Danaid, niedające się zapęłnić rozumowaniem.

A więc oczy ściągamy z nieba i patrzę na dół: ulice szare, proste, dogmatyczne; na nich rzędami latarnie świecą jak złote guziki w galowym mundurze.

Przeszła jakaś wystrojona dama — zdziwiłam się, co robi o tej porze sama — na ulicy, gdy nagle podszedł

do niej jakiś mężczyzna, rozmawiali przez chwilę, a potem znikli w bocznej uliczce.

Czy wszyscy mężczyźni są tacy? Nie sędzę — zwierzę jest silne, ale człowiek silniejszy.

* * *

Nie mogę spać — wybiłam się ze snu. Wstawałam, aby spojrzeć, jak śpią małe. Kostecka ma gorączkę, majaczy, mówi o lalce, to znów o tatusiu, którego mama przeklina.

Biedne dziecko! Domyślałam się smutnego dramatu w jej rodzinie.

Kiedyś jej koleżanki zaczęły opowiadać o swych rodzicach i tęsknocie za domem. Ona milczała. Wtem któraś zwróciła się do niej:

— Kostecka! Ty jedna z nas wszystkich jesteś szczęśliwa, bo rodziców nie kochasz i nie tęsknisz za nimi.

— Kłamiesz! — odparła gwałtownie. — Matkę kocham więcej niż wy wszystkie razem swoich rodziców.

Ach Boże, jak ona przez sen zawołała: „Nie bij mamy!” — obudziła się...

Nareszcie ją uspokoila. Długo przy niej leżałam, opowiadając fantastyczne baśnie o śpiącej królewnie, elfach, kryształowych, podwodnych pałacach. Zasnęła z uśmiechem i śni teraz zapewne o rozkosznych dziwach, jakimi się roi podziemne państwo karlików.

Fantazjo, błogosławiona wróżko ludzkości, która tworzysz cieniste ogrody i srebrne fontanny tam, gdzie bez ciebie byłaby posepna, spalona słońcem płaszczyzna! Potępiają cię, że dajesz tylko miraż, jak gdyby życie również nie było mirażem, załamany w pryzmacie naszej duszy! Tylko, że ten pryzmat jest czasem brudny, zamglony i daje zamiast widm tęczowych szare płachty, a wtedy mówią: „realizm”! Łudziciele, okłamujący siebie! Czyliż w istocie zjawisk nie spoczywa duch, a duch czyliż nie jest harmonią? A harmonia czy nie tworzy piękna?

A więc piękno — to właśnie najistotniejszy realizm!

4 października.

Wątpię, czy zdołam długo wytrzymać na pensji. Nie odstręcza mnie nawał zajęć, ale ten zgiełk ustawiczny, rwetes czyni mnie niezdolną do myślenia, do jakiegokolwiek poważniejszej pracy umysłowej. Mania już do tego przywykła — jest drugi rok na pensji i powiada, że się czuje dobrze zakonserwowaną, jak jaszczurka w spirytusie: chodzi o to, aby nie zgnić zbyt szybko... Od razu zaprzyjaźniłyśmy się z sobą — jest to dziwnie sympatyczna, dzielna i prawa natura. Wciągnęła mnie do koalicji, do której należy jeszcze Stefka. Ta ostatnia ma lat dwadzieścia trzy, a wygląda na trzydzieści: od lat ośmiu jest nauczycielką. Ogromna

pesymistka. Wierzy w przeznaczenie, a jako cel życia uważa powrót do bezmiernej ciszy i niebytu.

Może to poza. Nie wierzę, aby młoda dziewczyna mogła być zdecydowaną buddystką.

Chociaż! Być młodym — znaczy pragnąć, być dziewczyną — znaczy być uzdolnioną do miłości, a nauczycielka odpowiada definicji pszczoły roboczej: jest to wyspecjalizowanie w kierunku pracy, istota bezpłciowa.

Jakiś Francuz rokuje nam świetną przyszłość — w cywilizacji. Prowadząc analogię dalej, mężczyznom przypadłaby skromna, ale nie bez wagi rola — trutniów. Niech żyją wielkie dążenia cywilizacji!

* * *

Klasa moja uczy się doskonale, prócz Kosteckiej. Martwię się, tym więcej że bardzo lubię tę dziewczynkę. Jest nad wiek swój poważna i rozwinięta, ale nie ma najmniejszej chęci do pracy. Przyszła wczoraj do mnie po lekcjach i usiadła na stołeczku.

Nie zwracałam na nią uwagi, zajęta poprawianiem ćwiczeń. Nagle słyszę — Kostecka płacze.

— A toż co — pytam — sumienie dręczy grzesznicę?

— Tak, paniusiu — odrzekła.

— A więc zabierz się do roboty, żebyś nie miała dwójki z polskiego na cenzurze.

— Cóż ja na to poradzę, już za późno. Na jutro zadane wypracowanie — jeszcze go nawet nie zaczęłam.

— Moja Zosiu — powiadam — jestem pewna, że napiszesz doskonale, tylko weź się do niego ochoczo. Poprawisz sobie stopień i mamie nie zrobisz wielkiej przykrości. A i mnie nie będzie smutno, gdy się przekonam, że mam uczennicę leniwą, choć zdolną.

Wstała i nic nie mówiąc, poszła do stolika. Pisała przez dwie godziny, wreszcie sama oderwałam ją od pracy.

Chciałam przejrzeć, co napisała, ale nie pozwoliła. Mówi, że się wstydzi.

Miały zadany temat: „Dlaczego dzieci powinny kochać rodziców?”.

Temat trudny — obawiam się, czy dała sobie z nim radę.

Jutro się to okaże.

* * *

Sądny dzień na pensji. I to wszystko z powodu Kosteckiej.

Darować nie mogę, że pozwoliła oddać wypracowanie bez mego przejrzania.

Zaszkoziła sobie fatalnie w opinii nauczyciela. Ten pan sądzi, że tylko głębokie zepsucie mogło podyktować następujące zdania: „Dziecko nie ma za co być wdzięczne swoim rodzicom, że mu dali życie, bo o

nim nie myśleli. Należy kochać tylko matkę, która cierpi dla dziecka, gdy ojciec się bawi”.

Nauczyciel przekreślił ćwiczenie i z oburzeniem pokazywał przełożonej. Ta na razie nie wiedziała, co robić.

Do głosu zostały powołane nauczycielki. Kafarska radziła, aby Kostecką wypędzić z pensji i ogłosić w „Kurierze” cały wypadek: „Niech publiczność wie, do czego prowadzi złe wychowywanie dzieci!”

Pobożna Terkowska załamała ręce i wyraziła pewność, że „dziewczyna musiała już oddawać się diabelskim namiętnościom, gdy tak bezbożnie myśli”.

Na to Mania zapytała, czy by nie spróbować egzorcyzmów?

Widząc, że zanosi się na ostre starcie, prosiłam przełożonej, aby małą oddała mi pod wyłączną opiekę, na co zgodziła się bardzo chętnie.

W ten sposób zdobyłam dziecko.

Niejedna kobieta, aby to osiągnąć, stawia na kartę całe życie...

* * *

W pobliżu naszej pensji leży cichy, mało przez publiczność odwiedzany ogród. Tam poszłam dziś z Zosią na spacer.

Zwarte sklepienia drzew przysłaniały niebo. Na dole w alejach było ciemno jak o zmroku w gotyckich świątyniach.

Olbrzymi księżyc, niby rozpalona miedziana tarcza, wschodził powoli ponad dachami domów.

Zosia była smutna czy rozmarzona. Ja myślą również odbiegłam daleko: wspomniałam wieczory letnie nad brzegami Rosi, która w srebrnych blaskach księżycy błyszczy jak klinga szabli, rzucona na kobierzec bujnych zielonych traw.

Z daleka dolatują tęskne pieśni parobków i mołodyć.

Milkną — nastaje „święta” cisza stepów, której równa chyba tylko na błękitnych polach Elizjum panuje, gdzie bez szelestu duchy się prześlizgują, gdzie są czucia bez pragnień, a marzenia bez tęsknoty. Cicho...

Tylko z nadbrzeżnych szuwarów dolatuje jakiś nieuchwytny, metaliczny pobrzęk — to harfa stepów się nastraja, struny jej schodzą się w mym sercu, a rozbiegają po wszystkich kurhanach.

I zaczynają grać starą legendę przeszłości, starą baśń o początku uroczystym i potężnym, w środku zmieszaną przez błazeńskie dzwoneczki i gwałtownie urwaną przez pogrzebowe dzwony. Zwyczajny rozwój rzeczy ludzkich... On czuł, co się we mnie działo i szeptał: to czasy ubiegłe, żyjemy terażniejszością smutniejszą, a jednak lepszą.

Brał mnie za rękę i myśli swoje puszczał wraz z mymi — jak sokoły — pod obłoki. Łódka płynęła sama, bez wioseł.

Cicho...

Wtem jakiś ptak wielki porwał się z nadbrzeżnych trzcin i z jękiem pofrunął w dal jak dusza, która musi odlatywać z miejsc ukochanych.

Zmąciła się cisza w powietrzu, zmąciły się nasze myśli, ale nie zmąciły serca.

Bo czuliśmy nad sobą rozlanego w majestacie natury Boga.

Więc wracaliśmy do domu, jak po modlitwie.

A teraz — może on znów płynie w cichej zatoce Ospedaletti, lecz na ramieniu jego już inna...

Czemu istnieje pamięć rzeczy, które powinny znikać jak sen — bez możliwości przypomnienia?

Zosia pociągnęła mię za rękę. Ocknęłam się z zadumy.

— Czy paniusia gniewa się na mnie? — spytała nieśmiało.

Na razie nie rozumiałam, co ma na myśli. Potem odrzekłam:

— O cóż mogę się gniewać? Pisałaś, jak myślałaś, ale myślałaś fałszywie. Za młoda jesteś, aby rozumieć te rzeczy.

— Wszyscy mężczyźni kochają w nas tylko własną przyjemność — szepnęła.

— Jak to — w nas?

— No, w nas — kobietach.

Struchlałam. Ta mała uważa się za kobietę i mówi jak dojrzała w bólu czy zepsuciu istota.

— Moja Zosiu — odrzekłam szorstko — nie lubię, gdy ktoś rezonuje o tym, co zna tylko ze słyszenia od starszych, niezbyt mądrych przyjaciółek. Mężczyźni i

kobiety mają wzajemne obowiązki; kto się od nich wyłamuje, jest nieuczciwy, ale takich ludzi jest mało.

— A dlaczego tyle kobiet jest uwiedzionych? —
Znikło ostatnie złudzenie, z Zosią nie można mówić jak z dzieckiem.

Chciałam zbadać, jaka trucizna sączy się w tym młodziutkim sercu, aby ją usunąć i duszę chorą uzdrowić. Pomogła mi sama Zosia — zaczęła mówić zwolna, z zastanowieniem:

— Bo widzi pani, ja to wszystko znam z doświadczenia. Moja mama często płacze i nie sypia po nocach. Ja wiem dlaczego: kochała i dotąd kocha jednego pana, bardzo bogatego adwokata. To mój ojciec. Ale ja go nie cierpię. Gdy przyjdzie do nas, ja uciekam na podwórze. Raz nadszedł pijany, na mamę zaczął krzyczeć, a potem bić. Wtedy ja — głos jej przybrał oddźwięk złowrogi — porwałam nóż...

— Dziecko nieszczęsne! — krzyknęłam.

— I uderzyłam go w rękę. A on — nic, tylko spojrzał na mnie dziwnie, usiadł w kącie i płakał. Ja też się rozplakałam i uciekłam. Gdy wieczorem wróciłam, jego nie było, tylko mama leżała chora. Zawołała mnie i zaczęła mówić o nim: że jest dobry, ale nieszczęśliwy; że mamę kochał, ale ożenił się z inną i teraz tego żałuje; że ja powinnam go kochać, jak on mnie. Chciała, abym to przyrzekła, ale ja nie mogłam kłamać. Powiedziałam, że jest podły. Wtedy mama się porwała i uderzyła mnie — pierwszy raz. Ale ja mamie tego nie daruję do śmierci.

— Zosiu! Mama twoja i bez tego jest nieszczęśliwa; to okrucieństwo nosić w sercu żal do niej tak długo.

— Ja też mamę kocham, bardzo kocham! I ona mnie kocha, ale... jego więcej...

Ostatnią Wilię spędzałyśmy jak zwykle, same. Był tylko chleb, kasza i dwa śledzie. Bo za robotę mamie nie oddano... Mama szyje suknie i lekcje daje: uczy języków i muzyki. Często bieda nam dokuczała. I teraz na pensji, paniusia wie, jestem za darmo. Otóż wtedy byłam smutna, mama chciała mnie rozbawić, ale ja nie mogłam się śmiać. Mamie przyszło do głowy, iż to z powodu braku słodyczy na Wilię; ubrała się i wyszła. A mnie — ot tak było czegoś smutno. Myślałam sobie, jak to dobrze było Panu Jezusowi w stajence obok pasterzy, Matki Boskiej i Józefa...

Mama powróciła, niosąc w węzełku mnóstwo pierników, orzechów i książkę: *Pamiętniki* Paska z obrazkami. Dziwiłam się, skąd mama wzięła tyle pieniędzy, ale nie chciała mi powiedzieć.

Wkrótce przyszły dzieci, które mama zaprosiła po drodze — od pani Róży córeczka, dwóch chłopców od praczki i jeden uczeń z gimnazjum. Bawiliśmy się doskonale. Goście odeszli późno w nocy. I zaraz dowiedziałam się, skąd mama wzięła pieniądze: spadła jej chustka z głowy przy rozbieraniu i zobaczyłam, że ma włosy obcięte... A miała ogromne, śliczne, złote, aż do kostek. Nieraz się śmiała, że może chodzić bez ubrania i przykrywać włosami. A teraz zrobiła się taka

brzydka, że patrzeć na nią nie mogłam. Więc zakryłam się kołdrą i płakałam, jak nigdy, całą noc.

I wie paniusia, kiedy on przyszedł na drugi dzień, na mamę okropnie się gniewał, nazwał ją nikczemnicą, że włosy obcięła...

Zosia urwała, kąciki ust jej drżały. A we mnie odżyły wspomnienia lat dziecińczych, kiedy przywiedziona do rozpaczki trulał się zapałkami... Matko i ojczco, lepiej wam jest w zimnym grobie niż z sobą razem za życia!

Wzięłam Zosię w objęcia, ona płakać zaczęła i ja od łez powstrzymać się nie mogłam.

Rodzina — ta Święta Arka Przymierza — czy nie bywa często skrzynką Pandory, skąd wylatują ponizenie, fałsz, brud, podłość!...

12 listopada.

Dawno nie zaglądałam do tych notatek.

Wszystko we mnie skłonne jest do milczenia, nawet wobec siebie samej.

Na pensji życie płynie dawnym torem: wieczny kołowrotek lekcji, spacerów, korepetycji...

Nie pytam się już, jak długo do wieczora, do spoczynku.

Nie zastanawiam się już nad niczym, osobliwie nad przyszłością, nie widzę jej przez to ani w czarnych, ani różowych barwach. Czarne zostały w okresie mego

dzieciństwa — różowe... te chyba nad brzegami Rosi. Pozostają szare, niepewne, mgliste.

Na tym tle wyrasta obowiązek. To jednak wielkie słowo. Gwałtem utrzymuje przy życiu i powoli uzdrawia.

Zajęcia swe spełniam bez przyjemności, ale i bez wewnętrznego sarkania. Robię jak koń w kieracie: poważnie, z wyteżeniem, bez ustanku.

Nawet są chwile, gdy bywam zupełnie szczęśliwa. Zdarza się to podczas zajęć z Zosią (dziewczynka wzięła się do pracy i robi ogromne postępy) albo podczas walnych zgromadzeń „koalicji”.

Zebrania odbywają się raz lub dwa razy na tydzień, gdy ukończywszy zajęcia i nie czując się zbytnio zmęczone, aby wprost iść do łóżek, schodzimy się, ja, Stefka i Mania, na pogawędkę. Rzec się wówczas dzieje w małym pokoiku tapetowanym na niebiesko, należącym do tej ostatniej. Lampa bez klosza (bo Mania lubi pełne, jaskrawe światło) postawiona na stoliczku, Stefka póleży na kanapie, Mania umieszcza się przy oknie, obserwując pogodę, ja — przy fortepianie.

Czytujemy zwykle głośno jakieś poezje, ostatnio Beniowskiego. Znamy wszystkie doskonale ten utwór, ale każda ma w nim swoje miejsca ulubione, jak Mania mówi: swoje febliki. Oto na przykład feblik Mani:

*I sądzę najpiękniejszą z krajów
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów —
Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia — pełną sosen, kalin, jodeł;*

*Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł —
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny — jako księżyc w chmurach.*

Na to Stefka odpowiada głosem smętnym:

*A jednak i to minęło! — Ojczyzna
Minęła także!...*

I zrywając się woła:

*...A więc niech wszystko mija! Wstańcie burze!
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylcie — niech je próżnymi uczyni
Czas...*

Pamiętam dokładnie dyskusję, jaka się wówczas rozwinęła.

Stefka rzekła, że gdy konieczną jest rzeczą, aby ludzie się rozradzali — dla dzieci lepiej, aby zginęły, nim na świat przyjdą...

Boże, jaka była świetna Mania w owej chwili!
Oczy jej błyszczały, gdy gorączkowo zawołała:

— To fałsz! Życie ma wielką treść i wielkie zadanie. Treścią jest walczyć i poznawać, celem zwyciężać i potęgować w sobie ducha. Miłość ojczyzny,

miłość rodziny, są to etapy na wielkiej drodze udoskonalenia.

A Stefka na to:

— Daj ci Boże szczęścia jak najwięcej, masz siły, aby go pragnąć i osiągać, jam zbyt zmęczona.

Robiliśmy dawniej domysły, co spowodować mogło to przygnębienie duchowe w Stefce, lecz gdy zagadnęłam ją, skąd pochodzi jej pesymizm i apatia, czy może kochała bez wzajemności, odrzekła szyderczo:

— Jak człowiek dokładnie rozumie swego bliźniego! Gdy zobaczy twarz niewesołą, zaraz ubolewa: — Wiem, wiem, cierpisz na żołądek! — albo — Nieszczęsny, kochasz bez wzajemności! Otóż, moja droga, zapamiętaj sobie raz na zawsze, iż żołądek mam w wybornym stanie, a nie dojdę nigdy do tego szczytu obrzydliwości i głupoty, jakim jest miłość bezwzajemna!

Nie wiem czemu, ale uczułam, jakby tępy świder wkręcał mi się w serce.

Pożegnałam je i poszłam do siebie.

Ale zasnęłam dopiero nad ranem.

*Milcz serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone —
Uderzam ciebie w złości. — Milcz szalone!*

* * *

Życie moje składa się z tak drobnych wypadczków, że nie mam co zapisywać.

Nie, nie przekracza wymierzonych relsów, chyba maleńkie starcia z powodu jakiejś plotki. Naturalnie, nie zwracam na nie uwagi, czasem jednak opędzam się jak od much dokuczliwych.

Tak na przykład siedzimy kiedyś wieczorem jak zwykle we trójkę; nagle drzwi się otwierają, Kafarska staje w progu i mówi głosem patetycznym:

— Amelko! — zaczęła mówić do mnie po imieniu zaraz na drugi dzień przybycia mego na pensję. — Amelko!

Pauza.

— Co pani sobie życzy?

— Nie udawaj, że się nie domyślasz!

— Gotowam sądzić, że dziś są moje imieniny.

— Pani przełożona jest oburzona, jest strasznie niezadowolona!

— O cóż chodzi?

— Jak to! Miałaś serce wziąć na spacer dzieci bez kaloszy! Aby się pozaziębiały! Aby rodzice wyprawiali nam sceny?!

— Trudno, aby się zaziębiły, gdy trzynaście stopni ciepła na dworze, a przy tym sucho zupełnie.

— Dość, że pani przełożona nie może się uspokoić! Powiada, że żadnej z was niepodobna zaufać w niczym, w niczym! Spodziewała się z was prawdziwej pomocy...

— Rzeczę tę wyjaśnię — rzekłam, idąc ku drzwiom.

— Cóż to! Awantury chcesz pani przełożonej urządzić? I bez ciebie ma dosyć kłopotów! Wreszcie, ja ci to powiedziałam w zaufaniu.

— Dziękuję za ten zaszczyt, mimo to, pozwoli pani... — i wychodzę, zmierzając do pokoju przełożonej.

Słowa Kafarskiej dotknęły mnie przykro — wyrzut, choćby w jej ustach przesadzony, musiał mieć miejsce, a czułam, że na niego nie zasługuję. Wszłam do przełożonej i bez owijania w bawełnę pytam:

— Podobno pani jest oburzona, że dzieci wyszły na spacer bez kaloszy?

— Ani mi to w głowie było.

— Tak? Bo mówiono, że pani jest strasznie niezadowolona, więc chciałam się usprawiedliwić...

— Ale cóż znowu! Że też nic u nas powiedzieć nie można, aby przekreconym nie było! Gniewałam się na służące, bo panienom kaloszy nie wycierają — oto wszystko.

Porozmawiałyśmy przez chwilę bardzo serdecznie i wyszłam.

Wracam z tryumfującą miną — Stefka palcem pokazuje na sąsiednie uchylone drzwi na znak, że siedzi tam Kafarska.

Ale ja nie zwracam na ostrzeżenie uwagi i powiadam:

— Cała sprawa powstała z tego powodu, że pewne osoby nie trzymają się nauki Chrystusa, aby gdy tak — mówić: tak, gdy nie, mówić: nie.

Dlaczego Kafarska ciągle kopie pode mną dołki? Mania twierdzi, że pochodzi to z dwu zbrodni, jakie na mnie ciąży: po pierwsze — jestem młoda; po drugie — przełożona używa mnie do czynności administracyjnych, których ster dotąd spoczywał w ręku Kafarskiej.

12 grudnia.

Do koalicji naszej wciągnęliśmy panią Courbet. Jest to piękna, wspaniałej postawy Francuzka, lat trzydziestu, żywa, wesoła, sympatyczna, ale z biczkami. Na wakacje jeździ do rodziców mieszkających w Paryżu, od których wraca wyelegantowana jak primadonna. Powoli wstążki odpadają, koronki się obrywają, na jasnych materiałach występują plamy... pani Courbet nie zwraca najmniejszej uwagi. Słusznie bowiem twierdzi, że człowiek zdoła suknię.

Dopiero wpływy atmosferyczne zwracają jej uwagę na zewnętrzną powłokę i wtedy wykazuje wielką pomysłowość.

Na przykład, zbliża się jesień — pani Courbet ma tylko wspaniałe letnie palto z wakacji. Ale podkłada pod nie kawał sukna, w kwadrans zszywa białymi nićmi i zadowolona powiada:

— *Tout est fini — tout est bien!*

I rzeczywiście, na zewnątrz taki strój wygląda wcale przyzwoicie.

Ale nadchodzi zima — pomysłowość pani Courbet okazuje się niewyczerpana. Odpruwa w kącie podszewkę, podtyka pod nią olbrzymi płat waty... zszywa kilku ściegami... i znów *tout est bien!*

Jest niezwykła we wszystkim; szkoda tylko, że wie o tym i pragnie swą oryginalność podtrzymywać.

Odżywia się tylko raz na dzień, smażąc befsztyk na maszynie. Do tego zjada dużą miskę sałaty i wypija dwie butelki piwa. Wieczorem wchłania szklanekę mocnej, czarnej kawy.

Mimo tych dziwactw panią Courbet da się lubić. Serce ma złote. Nigdy nie ma pieniędzy, bo jeśli nie straci na fatałaszki, oddaje pogorzelncom albo na szpitalu.

Pani przełożona lubi ją i ceni, gdyż nauczycielka z niej wyśmienita, uczennice za nią przepadają; za to ogół nauczycielek nienawidzi. Pełno krąży o niej plotek i to bardzo złośliwych. Tyle tylko wiadomo, z czym się nie kryje, że jest rozwódką, że mąż, będący adwokatem w Nantes, stracił cały jej majątek, i że podczas wakacji przyjeżdża do niego na miesiąc. Dłużej wytrzymać nie może, bo zbyt zaczynają się kłócić. Z tym wszystkim kocha go bardzo. Mąż nadsyła jej od czasu do czasu pudło kwiatów lub owoców. Niedawno nadszedł olbrzymi kosz z południowymi owocami, ale.. z Nicei. Pani Courbet urządziła wspaniałą ucztę dla nauczycielek i pensjonarek. Jedna tylko Terkowska nie chciała jeść — tak była oburzona „bezczelnością Francuzicy”. Kafarska mniej była skrupulatną — jadła, ale za to obgadywała biedną Courbet... jak ostatnią

ladacznice. Dowiedziała się o tym delikwentka, wściekła biegała po pensji, szukając Kafarskiej, znalazła ją w salonie, zwymyślała wobec przełożonej i paru pań obcych, a wtedy wróciła do nas, tryumfując, że „zmyła głowę diabłu”.

Wieczorami, gdy się schodzimy, bawi nas gawędami ze swego życia, w których rzeczywistość i kłamstwa tak się mieszają, że niepodobna ich od siebie odróżnić. Na przykład opowiada, że jadąc do Paryża, poznała się w Berlinie z jakimś studentem, który jechał w tę samą stronę. Rozmawiali *volapüickiem*, pomagając sobie migami, bo ona nie знаła niemieckiego, a on francuskiego. Po drodze zwiedzili Monachium, zajechali do Szwajcarii, wdrapywali się na szczyty gór...

Zaczęłyśmy się śmiać, mówiąc, że już zbyt blaguje, do nieprzyzwoitości.

Ale pani Courbet się oburzyła.

— Nie wierzycie? Zaraz wam dowiodę... Pisywał do mnie przez czas jakiś listy, których nie czytałam, bo są po niemiecku, ale wam pokażę, byście mi je przetłumaczyły.

Wyleciała z pokoju, za chwilę przyniosła parę listów, z których jeden był... rachunkiem za kapelusz, kupiony w Lipsku i niezapłacony, drugi... jego powtórzeniem w ostrzejszej formie, trzeci... wprost zwymyślanie.

Omal nas śmiech nie udusił.

Pani Courbet nie chciała nam wierzyć, złapała słownik, przetłumaczyła... i rzeczywiście przypomniała sobie, że w Lipsku kupiła kapelusz, nie miała przy sobie

pieniędzy, obiecała odesłać z hotelu, zapomniała, ale w czasie gawędy z modniarką wspomniała, że jest na pensji w Warszawie — i stąd owe ścigające ją listy. Śmiała się okropnie z wymysłów; odpisała bardzo grzecznie z wyjaśnieniem i odesłała pieniądze.

Takich kawałków pani Courbet miewamy dużo.

* * *

Najciekawszym typem wśród nauczycieli naszych jest pan Staszecki. Dość jeszcze młody, a już otoczony całym szwadronem starokawalerskich wdzięków: pedant, zgryźliwy, surowy dla uczennic, względem nas uszczypliwy. A mimo to lubimy go wszystkie bardzo. Uczennice nadto boją się go okropnie.

Kiedyś asystowałam na lekcji w szóstej klasie i byłam świadkiem następującej sceny:

Uczennica wyrwana nie umie lekcji.

— Szkoda, że panna lekcjami tak się nie zajmuje — prawi Staszecki — jak strojem. Gdyby panna połowę tego czasu poświęciła na przygotowanie matematyki, co na rurkowanie loczków, pewno nie bąkałaby pod nosem takich nonsensów.

Obrażona „panna” idzie na miejsce.

— Bo nie myślcie, moje panny — zwraca się Staszecki już do klasy całej — żeby nie była wam potrzebna znajomość matematyki, choć młodzieńcy z klasy ósmej i prawnicy z pierwszego roku mówią z wami o czym innym niż o twierdzeniach Pitagorasa.

Chodzi o to, abyście panny raz przestały rachować na laury kapitolińskie!

Innym razem pierwsza uczennica podpowiada koleżankom mimo uwag i próśb Staszeckiego. Wreszcie Staszecki wstaje i powiada:

— Łudziłem się długo, że do panny Borkowskiej można mówić jak do człowieka. Gdyby panna była chłopcem, zapisałbym na cztery godziny do kozy. Ale że panna jest istotą uprzywilejowaną i do tego może już na wydaniu, postawię pannę do kąta, jeśli podpowiadanie się powtórzy.

Perora poskutkowała, Borkowska milczała odtąd jak zaklęta.

Lubię rozmawiać ze Staszeckim.

Bardzo inteligentny i odcytany, ale pesymista.

Dobrana byłaby para ze Stefką.

A jednak, gdy Stefka zacznie pesymizować, prosi, by przestała, bo mu działa na nerwy.

Kiedyś radziłyśmy, aby się ożenił.

Odparł, że się boi czarów Kirke.

— Chociaż z drugiej strony — dodał — lękam się przekonać, że nie mam już nic do stracenia.

Dlaczego taki zgorzkniały?

Kafarska zaczęła Mani tłumaczyć to na swój sposób, ale ta poradziła wykopać dołek, jak się to dzieje w bajce o Midasie, i tam złożyć zajmującą tajemnicę.

17 grudnia.

Zbliża się Boże Narodzenie — roboty mnóstwo, sesje, pisanie cenzur, zestawianie rachunków dla rodziców. Życie podobno jest walką, na pensji rejwachem.

Nauczycielki biegają jak opętane, uczennice niezmiernie gadatliwe, tłoczą się po wszystkich korytarzach, unikając starannie klas i miejsc oficjalnych. Odbywa się na wielką skalę znoszenie kwiatów, którymi obdarowane nauczycielki zapychają wszystkie wazoniki, szklanki, flaszki.

Gdy Mania niektórym paniom zwróciła uwagę, że nie wypada przed rozdaniem cenzur cośkolwiek przyjmować — odrzekły obrażone, że nie są tak źle wychowane, aby miały gardzić ofiarą kochających je dziewczątek.

Nie brak epizodów humorystycznych. Siedzą w jakiejś bocznej klasie dwie nauczycielki, od godziny pilnie zajęte rozmową. Wtem wbiega uczennica i powiada, że idzie pani przełożona. Zrywają się obie, jedna ucieka, druga, to jest Kafarska, biegnie na spotkanie przełożonej, rozpychając wszystkich po drodze, hałasując i gniewając się na uczennice.

W korytarzu spotyka przełożoną, nie zatrzymuje się, pędzi jak kula, wołając:

— Przepraszam, przepraszam — nie mam ani chwili czasu.

Przełożona z podziwem zwraca się do Stefki, która obserwowowała całą scenę:

— Boże, jak ta Kafarska pracuje! Może jest za energiczna, ale nieoceniona, nieoceniona...

Nasza przełożona jest osobą niesłychanej zacności. Zewnętrznie trochę onieśmielająca swą powagą i stanowczością, w chwilach nieurzędowych jest szczerą, prostą, niewymuszona. Twarz ma ascetycznie chudą, całą postać wyschłą, szczupłą, powiewną. Tylko w wielkich czarnych oczach pali się energia i zapal niezwalczony. Podobno kochała jakiegoś profesora uniwersytetu, ale nie wyszła za mąż, aby móc swobodnie i całkowicie oddać się prowadzeniu pensji.

Obowiązki swe spełnia z takim poświęceniem, energią i sumiennością, że patrząc na nią, zapomina się o wszystkich dolegliwościach życia nauczycielskiego. Po skończeniu zajęć, nieraz do późnej nocy pracuje jeszcze nad sobą; to też posiada szeroką i gruntowną wiedzę.

Odznacza się przy tym wielkim taktem i umiejętnością zastosowania się do umysłu, z którym ma do czynienia. Gdy uczennica popełni jakieś znaczne wykroczenie, idzie na niebieską kanapkę. To znaczy, że przełożona woła do swego pokoju o niebieskim obiciu i niebieskich sprzętach i długo, poważnie z nią rozmawia. Uczennica wychodzi spłakana, przez kilka dni jest zamyślona i prawie zawsze zmienia swe postępowanie na nienaganne.

* * *

Od dwóch dni cisza panuje. Pensjonarki się rozjechały, nauczycielki również. Kilka tylko osób, jak niedobitki armii, snuje się po rozległym mieszkaniu, złożonym z dwudziestu sześciu pokoi.

Mania wyjechała na święta do domu.

Zostałyśmy same ze Stefką.

Wydaje się, jakby nas kto umieścił w pudełku z watą — taka cisza, miękkość, brak zwykłych szturchańców.

Budzimy się jak młynarze, gdy woda huczeć przestała.

Budzimy się — do czego? Do rozmyślań?

Nie, lepiej nas nie budźcie!

Toteż śpimy zwykle do dziesiątej, czytamy po całych dniach, trochę odwiedzamy znajomych.

Cokolwiek robić, aby tylko nie zgnieć przedwcześnie, jak Mania powiada.

* * *

Dziś chodziłam na przechadzkę ze Stefką i jej znajomym, studentem medycyny. Uchodzi za jednego z bardziej inteligentnych i ma opinię „czynnego”. Jest w wieku Stefki i myślę, że może będzie coś z ich ciepłych spojrzeń.

Mówiliśmy o pewnym małżeństwie, gdzie mąż noc ślubną przepił w restauracji i z płaczem skarżył się przyjaciołom, że złamał sobie życie. Student twierdził, jakoby obecnie małżeństwo stawało się coraz większą trudnością dla ludzi inteligentnych, gdyż aby dwie

osoby mogły zdecydować się żyć ze sobą na zawsze, muszą wprzód poznać się w pożyciu wspólnym.

Dawniej było co innego: żądano posagu i pięknej twarzy, dziś... kobiety człowieka. Ale, aby człowieka poznać, trzeba go widzieć w różnych okolicznościach itp.

Słyszając te doktryny, uśmiechnęłam się gorzko. Dziwna rzecz! Mężczyzna jest albo naiwny, albo cyniczny — miary złotej nie zna.

— Z czego się pani śmieje? — zapytała dwudziestotrzyletnia, w mundur przybrana powaga.

— Z pańskiej teorii prób, z których mężczyzna zawsze wychodziłby zawiedziony, a kobieta nawet nazwać by się nie mogła uwiedzioną.

— Właśnie chodzi o to, aby nie było kobiet uwiedzionych — odparł żywo.

— Chodzi o coś więcej — odrzekłam — aby w razie nieszczęśliwej pomyłki, tak zwykłej u was, na kobietę nie spadał cały ciężar obowiązków i pogardy. Masz pan na to sposób?

Student zaczął tak szeroko rozprawiać o podłości ustroju obecnego, o tym że trzeba zburzyć wszystko, aby od początku wszystko lepiej zbudować, że już nie odzywałam się więcej.

Ten człowiek jest obecnie w okresie roku 1793, za lat dwa będzie tworzył rewolucję mieszczańską, za cztery... będzie przystawał do wszystkich partii, które mu zapewnią spokojne trawienie i możliwość używania szlachetnych rozrywek w rodzaju winta.

Kładłam się już do snu, gdy weszła Stefka, stanęła przy oknie, przez które zaglądał księżyc, i zadeklamowała przepiękny ustęp z *Pana Tadeusza*:

*Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zamecił.
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
One teraz, z pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona...*

Zaczęłam żartować ze Stefki i jej buddyzmu. Zawstydziała się, potem rzekła:

— Może byłoby życie lepsze, gdyby więcej było śmiałości iść za swymi pragnieniami.

— Ale nie buddystycznymi?

— Moja droga — odparła — najgłupsza miłość więcej ma wszechświatowego rozumu niż najmądrzejszy buddyzm.

Mówiła to z tak głębokim przekonaniem, iż zadałam sobie pytanie, azali nie mają słuszności ci, którzy jako istotne powołanie kobiety uważają ideał Lukrecji i Penelopy: *domi sedit, lanam fecit*.

Ba, łatwo stawać pod takim sztandarem, gdy kto należy do klubu wzajemnej adoracji. Tylko, że na przykład ja nie mam w perspektywie nawet studenta! Stąd muszę wierzyć w znaczenie staropanieństwa dla wieku pięćdziesiątego i pogardzać tym, który tak dobrze rymuje z wężem.

Udaje mi się to do pewnego stopnia; pierwsza oznaka: niedbanie o swą powierzchowność. Niedawno poszłam do fotografa, aby rozdać swe podobizny uczennicom, które o to prosiły. Gdy zaś ten pan powiedział mi komplement o mojej niby „fenomenalnej” piękności i prosił o pozwolenie wystawienia fotografii, przyjąłam to tak obojętnie, jak gdyby mówiono o moich trzewikach.

Cóż z tego, choćbym była ładna? Dopiero wtedy cenimy ów dar natury, gdy możemy złożyć w upominku temu, któremu dajemy wszystko i od którego żądamy wszystkiego.

* * *

W nocy.

Dzieje się ze mną coś niezwykłego. Oto siedzę sama w pustej klasie, a zerwałam się z łóżka. Nie mogę spać.

Ścigają mnie wizje...

W liliowym przedświcie pogrążona górską dolina.

Ciemna zieleń oliwek i jasna pomarańczy odbija harmonijnie od fioletowych skał. Strumienie błękitnymi wstęgami spadają po kamieniach.

Na wzgórzu bieleją śnieżne kolumny greckiej świątyni.

Do niej zmierza w płasach rzesza Nimf i Panów — w rękach szkliste grona winogrodu, na czołach wieńce róż.

Wóz purpurowy ciągną bachantki, na nim — o marmurowych kształtach i granatowych oczach, stoi bóg.

Skinął ręką i cała dolina napęlnia się hymnem radości i upojenia.

Wtem cisza... Każdy spogląda zachwycony, z palcem na ustach, aby nie spłoszyć cudownego zjawiska, które odbywa się co dnia przed oczyma śmiertelnych: Z lazuruowo-szmaragdowej toni morza wybiega różowa dziewicza postać i biegnie po kryształowym sklepieniu, otoczona złocistymi towarzyszkami. Zaczynają igrać i pląsać, lekkie jak łabędzie puchy.

Nagle wszczyna się popłoch: złote Charity zostają chwilę w niepewności, potem rozbiegają się jak stado gołębi: na widnokregu nieba ukazuje się olśniewająco jasny Helios. Spostrzega różową, przejrzystą postać Jutrzenki i biegnie ku niej.

Ta blednieje z obawy i spiesznie zarzuca na siebie szatę srebrem tkaną — ucieka, ale Helios zdąża prędzej — chwyta ją — ona umiera w objęciach...

O, gdyby Zorzą być na chwilę i w blaskach miłości zaniknąć!...

Rzucam pióro, chcę myśl czymś rozerwać, wstyd mi siebie samej. Będę czytała *Iliadę*:

Ziemia od razu pod nimi zielenią pokryła się świeżą, Hiacyntami zakwitła, szafranem i koniczynami, Bujne i miękkie się łoże usłało z trawy i kwiatków. Na nim legli oboje świetlistym okryci obłokiem, Złotopromiennym; a rosy kropelki rześisto padały....

* * *

Aż się przeraziłam, przeczytawszy słowa wczoraj pisane. Chciałam tę kartkę wydrzeć, ale niech raczej widnieje, jako ostrzeżenie przed sobą samą.

Są namiętności, które przytłumiane z dnia na dzień wybuchają z siłą niezwalczoną i wołają na głos cały: „Krwi i ciała!”. Wtedy my za obronę mamy wspaniały, komunałami tapetowany parawan cnoty. Chowamy się zań — i wszystko jest w porządku.

A te noce bezsenne, te pragnienia wysuszające, ukrywane, jak zbrodnie!...

I to ma być tryumf ducha?

„Oddajcie ciało, co jest cielesnego, a co jest boskiego — Bogu!”

1 stycznia.

Coś między nimi zaszło. Halszka skarży się na niestałość rzeczy ludzkich, a on, w liście osobno pisanym do mnie, powiada, że żona jego jest ideałem dobroci, ale on jej niegodzien; pracuje nad powieścią i często w zmroku wieczornym marzy o chwilach, spędzonych w Harasimówce...

Czemu on to wszystko przypomina?

Dlaczego grubym narzędziem dotyka rany, świeżo zagojonej? Czyżby udawał, że nie domyśla się niczego?

A w takim razie, co znaczyły słowa na pożegnaniu wyrzeczone:

„Daruj mi krzywdę, jaką ci wyrządziłem”.

Ja żalu do niego nigdy nie miałam, ale dlaczego nawiązuje nici dawno potargane?

Pisze, że mu smutno na obczyźnie, a do kraju wracać się lęka — tam spotka widmo utraconego szczęścia...

Frazes czy może coś więcej? Jak gdyby mogło być, jak gdyby nie hańbą było coś więcej!

Odpisałam obojgu bardzo serdecznie, radząc, aby wracali do kraju, zajęli się pracą określoną.

Tyle pola, czekającego dopiero na siewcę i oracza!

A praca tęczą osnuje ich miłość...

* * *

Stefek pisuje do mnie bardzo rzadko. Powiada, że woli o mnie myśleć lub pracować nad czymś z myślą o mnie, niż recytować suche sprawozdania o swym zdrowiu, zawsze dobrem, o stanie budżetu, nie tyle kwitnącym, ile pełnym nadziei, o zajęciach, będących układaniem cegiełek jednych na drugie i wypadaniem tych, które są na dole, w miarę, jak się mnożą te, które są na górze.

— W ten sposób — powiada — nakładam dolnymi kawałkami drabiny części górne — i szturmuję do nieba.

A gdy ma się zwalić ta budowla, oby się zawaliła przynajmniej z wysoka!

Stefek jest to umysł żywy i dzielny, ale posiadający za mało równowagi w swych ambicjach.

* * *

Co to ma znaczyć? Czyżby sarkazm leżał w naturze stosunków ludzkich?

Czy życie musi być pogonią za błędnymi ognikami, wiodącymi na moczary?

Chciałabym wyjść na ulicę i śmiać się ludziom w oczy: jak okropnie zabawne są te figurki o maleńkich wewnątrz sprężynkach i szkle na oczach, powiększającym ich charłactwa do rozmiarów bohaterstwa, ich słabość do tragedii, ich nieudolność do potężnych wyroków fatalizmu...

* * *

Sprawa czysta jak łza.

Były zaklęcia, były marzenia, były ciche rozmowy sam na sam; były poezje, były kwiaty, były długie uściski — a potem ślub z inną. Mija pół roku: dla jednej strony słodczy miłości i rozkoszne kołysanki na falach lazurowego morza; dla drugiej — cmentarne dzwony w duszy, stłumiony jęk ucisku i bólu, nareszcie — kosztem okropnym — przełamanie się, zdobycie prawa dla szacunku samej siebie, ukojenie i ciszy trochę.

Ale na gładką powierzchnię zatoki pada skała i tworzy się wir, ciągnący do dna, zawrotny, skrytobójczy...

Ostatnia scena dramoletu:

Zjawia się Oniegin, który spostrzegł, że uczucia swe wysłał pod mylnym adresem. Teraz dopiero widzi, że jego marzenia, jego tęcze, jego sny złote, jego girlandy duchowe, wszystkie zmierzały do tej pominiętej. Ale złość ludzka! Straszna omyłka! Posępne przeznaczenie!...

O człowieku! Choćby wszystko było stracone — ocal przynajmniej swą godność!

* * *

Dziś mogę myśleć o tym spokojnie.

Najwięcej żal mi Halszki. Ona tak kocha, tak cierpi nad tym, czego jeszcze nie rozumie dobrze, ale przeczuwa i trwoży się — biedna. Czasem doznaję wrażenia, jak gdybym klęczała u stóp białego marmurowego krzyża i modliła się do Tego, pełnego miłości, aby im szczęścia nie odejmował.

Nie daj, Panie, abym ja była zarzewiem, które dom ich podpali i w popiół obróci!

* * *

Otrzymałam list znów od niego. Pisze, że wraca do kraju, bo tu tylko może być szczęśliwy. Jak to... sam? Nez żony?

Może to i dobrze — rozetnę od razu ten wrzód!

10 stycznia.

Odwiedził mnie Staszecki. Byłam mu niezmiernie rada, z czym nie starałam się nawet ukrywać. Ogromnie cenię przyjaźń tego człowieka. Mówiliśmy długo o naszych zajęciach. Nie spodziewałam się, żeby ten chłodny na pozór człowiek tyle duszy kładł w to smutne, niewdzięczne nauczycielstwo. Do życia wiąże go jedynie nadzieja przyczynienia się, aby następne pokolenie było szlachetniejsze i dzielniejsze.

Mówi zwykle bardzo spokojnie, lecz pod tym spokojem gorzeje wielki płomień. Kto by myślał, że ten Heine tak kocha ludzi!

Nigdy Staszecki nie wydał mi się tak czcigodnym. Nie mówię: sympatycznym, bo jest to zbyt liche i oklepane słowo, zbyt ogólnikowe, aby coś mogło określać.

Człowiek, który cierpi, męczy się życiem a mimo to żyje i walczy dla dobra innych — wzbudza cześć.

Na pożegnanie prosił, bym coś zagrała. Wybrałam *Tannhäusera*, choć Wagner źle wychodzi na fortepianie. Ale czułam się tak silną, że chciałam potężnymi dźwiękami wyrazić tryumfującą harmonię w moim sercu... A potem przeszłam do sonaty brylantowej. Gdym skończyła, rzekł:

— Kobieta, która nie umie grać, ma pół duszy, przynajmniej w oczach mężczyzny.

— Widać, że Mahomet nie znał kobiet grających.

— Niestety! — odrzekł Staszecki tak poważnie, jak gdyby znajomościami Mahometa straszliwie się interesował.

* * *

Dziś lub jutro spodziewam się jego przyjazdu.
Jestem spokojna i zimna.
Myślę, co zrobiłabym na miejscu Halszki,
dowiedziawszy się o wszystkim.

Może przecierpiałabym skrycie, gdybym tylko kochała tego człowieka nerwami, pożądaniami; lecz gdybym go nadto szanowała, zerwałabym wszystkie nici...

Kobiety często nie robią tego przez wzgląd na dzieci. Nie pomyślą, że z dzieci tych wyrastać będą...
Zosie.

Fałsz i nikczemność nie mogą służyć za budulec do szczęścia rodzinnego... Belkę przegniłą należy zawczasu odrzucać precz, aby nie nastąpiło zawalenie i nie przygniotło wszystkich...

(Późniejszy dopisek: Jakobinizm emancypacji!
Kobieta powinna uzdrawiać, nie dobijać, restaurować, nie burzyć).

* * *

Grałam dziś długo i po paru godzinach wstałam tak zdenerwowana, iż musiałam się położyć.

Jestem w dziwnym usposobieniu, niby spokojna,
ale bez zdrowia wewnętrznego.

Pali mnie gorycz i targa szyderstwo, a z teru
wszystkim...

Z tym wszystkim — ja go kocham.

To takie proste, jak nóż wbity w serce.

* * *

Był znów Staszecki. Ten człowiek przeczuwa, że ze
mną zachodzi coś niezwykłego, bo dziwnie na mnie
spoglądał, a przy pożegnaniu rzekł:

— Spokoju, panno Amelio! Przede wszystkim
niech pani nie rządzi się wyobraźnią — to piękna droga
do zaczarowanych krain, ale w życiu praktycznym
zaprowadza nas często tam, gdzie rozum wyjścia nie
widzi, a serce zbawienia nie czeka.

Mój zacny przyjacielu! Rozumiem — chciałeś
powiedzieć: tyle jest w życiu ważnych i wielkich
rzeczy, że marnością jest, wchodząc na góry, nie móc
się oderwać od jakiegoś zdeptanego kwiatka...

Ale co zrobić, gdy ogarniają halucynacje i zdaje się,
że ten kwiatek — to właśnie góra, od której istność
nasza zależy, a może innych...

Kwiatek wydaje się czarodziejem o niesłychanej
potędze, talizmanem, który jedynie otoczyć nas może
zapachem, ukołysać i uśpić...

Lękam się, lękam, lękam tego zdeptanego kwiatka!

Dn. 9 stycznia.

A więc już — po wszystkim!

Przyjechał... i widziałam go. Było to przed kilku godzinami — lokaj mi oznajmił, że jakiś pan czeka na mnie w salonie.

W pierwszej chwili doznałam zawrotu głowy. Chciałam go nie przyjąć, ale pomyślałam, że złoży to na karb mojej obawy. Spojrzałam na portret matki — i wyszłam.

Na chwilę przed otwarciem drzwi do salonu stanął mi przed oczyma: czuły, nadskakujący, poetycznie blady, pełen słów pieszczotliwych, gotowy ramieniem otoczyć i z pobłażliwie tryumfującym uśmiechem całować...

Zaśmiałam się w duszy i otworzyłam drzwi. Przywitałam go uprzejmie, ale chłodno, dopytując o żonę i zajęcia.

On z początku mówił z ożywieniem, potem zaczął się mieszać, zająknął parę razy i zamilkł. Przyglądałam mu się bacznie. Musiał być zmęczony podróżą, gdyż wyglądał nadzwyczaj blado, oczy świeciły gorączkowo. Ruchy miał nerwowe, czasem drżał.

Czułam, że ode mnie zależy utrzymać spokój i równowagę.

On parę razy próbował zejść na rozmowę o przeszłości, ja za każdym razem zmieniałam temat. Wreszcie wstał i rzekł:

— Pani musi mną bardzo pogardzać?

— Bynajmniej — odrzekłam — na pogardę zasługują tylko ci, którzy nie spełniają zaciągniętych zobowiązań.

— Podajesz mi pani zrećźnie truciznę. Bo trucizną dla mnie jest prawda. Jestem nikczemny, ale pani jesteś zbyt surowa dla ludzkiej nędzy...

— Surową nie mam być prawa...

— Lecz gdybyś miała, zostałbym napiętnowany pod pręgierzem jej moralności. Widzisz pani, wiem wszystko... a jednak przyszedłem.

— Po co? — spytałam cicho.

— Aby z ust pani usłyszeć dla siebie słowa potępienia i wzdargy... a wtedy postąpić, jak należy.

Nie wiedziałam, co znaczą te słowa. Zdawało mi się, że chce bodźca do zerwania wszelkich dawnych wspomnień. Więc rzekłam:

— Będiesz pan miał cały mój szacunek, gdy zrobisz szczęśliwą swą żonę.

— A poza tym będę dla pani zupełnie obcy?

— Owszem, przyjaźń dla pana żywiłam zawsze.

— Tylko przyjaźń?

— I nadzieję, że uczciwy człowiek spełni to, co do niego należy.

— Pani myślisz o przeszłości... ja ci się z niej wytłumaczę...

— Przeciwnie, mówię o pańskiej terażniejszości. W tym co minęło, nie widzę nic godnego uwagi.

Milczał, potem głuchym głosem powiedział:

— Bądź pani w życia szczęśliwa i wybacz, jeśli choćby przez chwilę stanął na twojej drodze.

— I ja życzę wam obojgu szczęścia — odrzekłam zmieszana.

Gdy wyszedł, stałam przy drzwiach i nie wiem, dlaczego, zaczęłam płakać.

Teraz mi jest lżej, prawie zupełnie dobrze. Staczałam się w przepaść, lecz na jej brzegu nagle mnie coś wstrzymało. Może to ty, matko, patrząca na mnie tak łagodnie i tak poważnie i tak smutno... uchroniłaś mnie przed swoim losem. A przez to zbawiłaś i tych dwoje...

* * *

Pracowałam dziś dużo od samego rana. Chciałam się rozerwać pracą i udało mi się to w zupełności.

Trochę jestem dziś — jak Stefka mówi — mistyczna. To prawda, doznaję wrażenia ulgi po dźwiganiu ciężkiego kamienia, ciszy, po wewnętrznym zgiełku i zamieszaniu.

Mam przed sobą widok jakiejś przestrzeni wielkiej, na której samotnie się wznoszą skały, mchem zielonym i niebieskimi pleśniami pokryte; głogi, rosną w załamach, ptaszęta ćwierkają, źródło, szemrząc wypływa z pod kamienia, a ja po długiej na piaskach podróży, spoczywam w cieniu sykomory. Patrzę na niebo i czuję nieskończoność. Patrzę na skały, głogi, ptaki i na siebie, i czuję znów nieskończoność.

I szepczę cicho: Panie, dobrze mi tu, zostaw mnie tak na zawsze!...

* * *

Dziś — jak sędzę — jest już przy swej żonie. Ona go przyjęła serdecznie i radośnie, zdziwiona, że wraca tak szybko, a on trochę smutny; że uległ fantazji czy nerwom, trochę radosny, że nie utracił czegoś najdroższego, szacunku dla siebie, i nie złamał istoty, która mu zawierzyła...

* * *

Zdaje mi się, iż posiwiałam w przeciągu tych czterech godzin. Dusza moja łka jak rozbita cytra...

Och, Ty Boże! Pozwalasz bić gromom w ludzi, śniących, że przybili do cichej przystani...

Wieczorem Stefka przyniosła mi „Kurier” i przeczytała, że w Hotelu Francuskim Konrad Laskowicki kulą przebił sobie pierś... że doktor nie robi nadziei... że domyślają się dramatu miłosnego... Wydarłam jej gazetę i chwyciwszy zarzutkę, wybiegłam na ulicę.

Po kilku minutach, długich nieskończenie, dorożka zatrzymała się przed hotelem — wpuszczono mnie, jako krewną — weszłam do pokoju, pogrążonego w półmroku.

Nic nie widziałam, ktoś ujął moją rękę i podprowadził do łóżka.

On leżał sino blady, oddech wychodził mu z piersi rzeżący i świszczący, na usta wystąpiła piana z krwią.

Byłam jak głaz, choć chciało mi się rzucić na ziemię i rwać włosy...

Doktor posadził mnie na fotelu i mówił:

— Odwagi! Może się go da uratować!

Jest nieprzytomny, ma gorączkę, bredzi, wymawiał moje imię zdrobniale, potem krew mu buchnęła przez usta, zalała twarz i poduszkę.

Stał się liliowo-biały, sądziłam, że umiera.

Uklękałam, płacząc bez łez.

Oto moje skarby — rozbite! Oto moje marzenia, krwią oblane! Oto mój kochanek konający — dla mnie — przeze mnie... Niosłam drogocenną, kryształową czarę, napełnioną winem, moc i wesele dającym, i uroniłam na głazy. Rozprysła w kawały, a napój mnie oblał i purpurowymi kroplami zawisnął na mej duszy...

Czekaj! Rozbiję i drugą czarę, wsiąkniemy razem w ziemię. Nie będzie już ani bólu w sercach ani przekleństw na głowach naszych. Trawa porośnie i brzozy srebrne...

* * *

Nad ranem ocknął się i poznał. Prosiłam, aby nic nie mówił. Patrzył na mnie wzrokiem, jakim spoglądamy na coś, czemu nie wierzymy, ale z czym nam jest dobrze.

Wzięłam jego rękę i pocałowałam, a potem w czoło.

Przymknął oczy i leżał nieruchomy.

Zapytałam, czy nie napisać do żony, aby przyjechała. Zabronił.

— Ja tylko przy tobie chcę umierać — wyszeptał.

Doktor spytał, kto będzie chorego doglądał w nocy, bo na służbę zdać się nie można. Chyba felczer?

Zdziwiłam się; od czegoż ja tu jestem?

Poszłam do przełożonej, opowiedziałam wszystko w kilku słowach i prosiłam o zwolnienie na miesiąc od obowiązków.

Ten anioł zacny miał łzy w oczach: uściskała mnie i obiecała, że wynajdzie zastępczynię. Wzięłam kilka książek z pensji, pożegnałam się ze Stefką, mówiąc, że wyjeżdżam do domu, powód zmyśliłam — i przeniosłam się do sąsiedniego numeru.

Teraz oto siedzę przy stoliku, piszę i nadśluchuję przez drzwi uchylone, jak oddycha... Lepiej.

* * *

Spędziłam okropną noc.

Gorączka się podniosła do czterdziestu stopni i siedmiu kresek... Doktor zamyślony patrzył na sino bladą twarz Konrada. Majaczył, krzyczał, że widzi śmierć w kącie pokoju, że się jej boi. Mnie wołał, abym odpędziła widmo. Potem zaczął mówić cichym, przejmującym głosem:

— Zawołajcie Halszkę, niech mi przebaczy, bo nie umrę spokojny. Niech wejdzie, ona tam stoi za drzwiami. Czemu Amelia nie chce jej wpuścić? Kto ma prawo męża oddzielać od żony?

Zakryłam twarz — każde słowo paliło mą duszę jak rozpalone żelazo, którym znaczyli zbrodniarzy.

Doktor starał się mnie uspokoić:

— Niech pani nie zważa na to, co mający w gorączce, jutro ani słowa pamiętać nie będzie.

Ale ja nie zapomnę nigdy...

Odtąd już milczał; pot kroplami wystąpił mu na twarz... była chwila przesilenia, prawie agonii.

Po pewnym czasie, który zdał mi się jak rok długim, doktor rzekł:

— Wszystko będzie dobrze... Teraz niech się pani położy, chorego zostawimy samego.

Gdy wyszedł, siedziałam jeszcze przy łóżku parę godzin. Myśli zebrać nie mogłam, w głowie huczało, przed oczyma zaczęły migotać dziwne twarze, złote, o straszliwym spojrzeniu i wykrzywionych rysach.

Czułam gorączkę, położyłam się, przeleżałam tak do rana w stanie bezprzytomnym. Teraz jest mi dobrze, tylko ten ciągły szum w głowie... Konrad dotąd śpi. Na samą myśl, że mógł umrzeć, doznaję tortur.

„Nikt nie ma prawa męża oddzielać od żony”. — Prawda, prawda! Ale dlaczego on to mówił? W gorączce? I w gorączce nie powinien był do mnie tak przemawiać.

Konrad się przebudził, jest przytomny, ale nic nie pamięta, co mówił w nocy. Wziął mnie za rękę, nie śmiałam jej cofnąć, ale było mi przykro. Może on myślał, że to Halszka?

17 stycznia.

Konrad bardzo lubi kwiaty — chciałam mu przystroić pokój, ale bałam się wybierać pachnące. Dlatego kupiłam przeważnie obce: azalie, kamelie, chryzantemy, gloksynie oraz rzecz niezwykłą w zimie — doniczkę, pełną naszych bławatków z kilkunastu kłosami pszenicy.

Ustawiłam to wszystko przy łóżku, a gdy się obudził, uśmiechał się do mnie i dziękował wzrokiem. Potem zapytał:

— Dlaczego wszystkie kwiaty dajesz mi bez zapachu?

A zgadując moją odpowiedź, dodał:

— Nie lękaj się, już mi nic w głowie nie zakreści. Daj mi kilka kwiatów wyłącznie od siebie.

Zerwałam bławatków i pszenicy i podałam mu. Przyjął, milcząc.

Dn. 21 stycznia.

Zaczyna wracać do zdrowia. Dziś był o tyle silny, że mógł słuchać głośnego czytania. Prosił, abym wybrała *W Szwajcarii*.

Bałam się, że go to rozdrażni, ale przeciwnie, uspokoił się i rozmarzył.

— Widzisz, moja droga, ja ciebie podobnie, fantazyjnie kocham. Tylko, że Słowacki „umierał z

żalu, usychał z tęsknoty”, ale pozostał zdrowy, a ja porwałem za pistolet...

— Czemu nie poszedłeś za jego przykładem — odrzekłam żartobliwie — nie napisałeś większego jeszcze, o trzystu stronicach, poematu, a na pewno byłbyś zdrowy na ciele i na duszy, jak po hydropatii.

Uraził się, ale potem wesoło gawędziliśmy o różnych gatunkach miłości.

Dn. 25 stycznia.

Nauczyłam się opatrywać mu ranę. Ma niewielki otwór, jak dziesiątka, który się szybko zabliznia. Doktor obiecuje, że za tydzień Konrad będzie mógł się podnieść z łóżka.

* * *

Między nami nastąpił jakby niemy układ — nie wspominamy nigdy przeszłości, za to często mówimy o Halce, jej rodzicach lub w ogóle o małżeństwie, wychowywaniu dzieci, stanie naszego społeczeństwa. Ten ostatni temat staram się nawiązywać najczęściej — dziwi mnie, że Konrada on tak mało interesuje.

Raz, czytając na głos *Dwa bieguny*, wyrzekłam zdanie, że nigdzie może tyle sił nie trwoni się marnie jak w naszym społeczeństwie. A przecież stosunkowo nigdzie tylu rąk i głów do pracy nie trzeba jak u nas.

Na to Konrad:

— Tak, hodowla ras poprawnych dałaby zdrowie moralne. Dlatego chcesz mnie zrobić hodowcą?
Czy zasłużyłam na taką ironię?

* * *

O ile da się naprawić stosunek Konrada do żony i w jaki sposób — oto myśl, która zajmuje mnie w dzień i nie daje mi spać w nocy. Bo jeżeli żonę kocha i za mną pogonił jedynie ogarnięty urokiem poetycznych wspomnień, powinien przed żoną wyznać wszystko otwarcie i wszystko wytłumaczyć.

Twierdzą, że na kłamstwie można budować szczęście. Ale jeżeli kłamiąc, możemy kogoś zrobić szczęśliwym, za to nigdy siebie. Do szczęścia trzeba wiary w prawomocność, właściwość swego postępowania. Okłamując, dajemy przewagę ukrywanym okolicznościom, bo chociaż od ich konsekwencji staramy się uchylić — kołysze się ona wiecznie nad nami, jak miecz na nici przypadku zawieszony.

Jest to żywot tułacza, tłumiącego swą godność, ściganego obawą odkrycia, a nieśmiejącego wyrąbać sobie szablą lub zdobyć siłą argumentów, lub zasłużyć pokutą i krzywd naprawieniem — prawa noszenia tej godności wobec siebie i wobec innych.

Lecz w wypadku gdy Konrad jej nie kocha, czy lepiej aby udawał uczucie, którego nie ma i utrzymywał kłamstwo, pustą formę małżeństwa, czy żeby zerwał

wszystko, opuścił żonę i — znów wielki znak zapytania. Trzeba by mieć tę lub ową pewność. Jak ją zdobyć?

* * *

Obserwując Konrada, dochodzę do przekonania, że nie kocha on ani mnie, ani Haliny, a raczej, że kocha jedną i drugą. Ze mną lubi marzyć, poetyzować — Halka podoba mu się przez swój wdzięk naiwny, prostotę, szczerłość, pogodę duszy...

Jest to człowiek, któremu przeciwności zapalają wyobraźnię, a zdobycze ją studzą. Kocha, póki kobieta mu nie wyzna, że gotowa iść za nim.

Z drugiej strony jego natura miękka przywyka do łagodnej, ciepłej dłoni kobiecej, jestem pewna, że gdyby zamiast mnie była na przykład siostra miłosierdzia, przywiązałby się do niej, a raczej zapalałby uczuciem jak błysk racy, krótkotrwałym, ale gorącym i świetnym.

Czy jest to sumienność? Nie, może raczej stałość tego popędu wyobraźniowego, który, mając niejasne poczucie ideału, mierzy nim ludzi, jak obłokiem chrabąszcze; czyni to bez świadomej analizy, wprost z mimowolnego zestawienia dwu wrażeń: spoczywającego gdzieś tam na dnie duszy i płynącego zewnątrz — ze świata.

Ujmuje życie pod kategorią nieokreślonych, niby z Empiriów Platona zaczerpniętych idei. Nie oddziela tego, co jest od tego, co by się pragnęło. Stąd mglistość w postępowaniu, stąd niejasność własnych uczuć dla siebie samego. Gotów wszystko zrobić pod wrażeniem,

rozdętym przez wyobraźnię, a prawie nic w imię tego, co zna i posiada.

Może się mylę — wkrótce sprawdzę.

* * *

W rozmowie spytałam Konrada, co zamyśla zrobić ze mną.

Zdziwił się niezmiernie i odrzekł wymijająco, że teraz śni rozkosznie, więc po co go budzić?

Zwróciłam uwagę, że gdy długi sen jemu służy, mnie może wyczerpać, szczególnie wobec ataków opinii.

— Jak to, więc dbasz o sądy ludzkie! — spytał z żalem.

— Naturalnie! (Naiwny wyrzut, który robi każda męska pycha: jak to, wobec mnie — twego bóstwa, dbasz jeszcze o ten nędzny, otaczający cię świat!)

— Cóż więc chcesz, abym uczynił?

— Bez ślubu żyć nie możemy...

— Ślub... ależ to niepodobieństwo! Nie jestem mormonem.

Wstyd mnie oblał, lecz postanowiłam anatomizować dalej:

— Przyjmij protestantyzm, ślub poprzedni zostanie zerwany, staniesz się wolnym.

— I ty to mówisz z takim spokojem?

— Jeśli chcesz mnie osiąść, nie widzę innej drogi. Wreszcie, co znaczy jedna trudność wobec naszego przyszłego szczęścia?

Milczał.

Po długiej pauzie rzekł:

— To byłoby jednak nieuczciwie z mojej strony! W jakim położeniu zostawiłbym Halinę? Proszę cię, Amelio, postaw się na moim miejscu, jako prawego człowieka...

Tryumfowałam.

Słowa Konrada dla każdego uczciwego sumienia były prawdą oczywistą. Ale oczywistość ta jak wiele innych, gdy chodzi o ścisłość myślenia oraz postępowania, musi być wyrażona i za fundament przyjęta.

Postanowiłam iść dalej i zerwać ostatnią zasłonę z nagiego posągu prawdy.

— Więc gdzie twoja miłość — krzyknęłam — gdy dawnych związków nie chcesz poświęcić dla mnie! Czymże ci jest żona, której nie kochasz wcale?

— Nie kocham, zapewne, ale widzisz, jestem przywiązany do niej. Każdego mężczyznę zdobywa i przykuwa myśl, że jest kochanym, a ona ma dla mnie tyle uczucia... Wreszcie, ty może tego nie rozumiesz jako kobieta, ale honor mój byłby zdrażniony. Ja nie mogę porzucić zupełnie żony, uciec od niej jak kantorowicz od swego pryncypała.

— A cóż my ze sobą zrobimy?

— Wyjedziemy tymczasem gdzieś daleko na przykład do Szwajcarii, a potem... któż myśli o potem! Jedna chwila rozkoszy i upojenia ozłoci nam całe pasmo szarego życia.

— Nie, mój drogi — odrzekłam zimno — masz do wyboru spalić za sobą mosty albo ich nie przechodzić wcale. Wybieraj!

Czułam, że rozmowa wywiera nań przykre wrażenie. Nic dziwnego, proponowałam układy, a mężczyzna znosi tylko zdanie się na łaskę i niełaskę.

Zaczął mówić długo o tym, że kocha mnie nad wyraz, wszak dał tego dowód! Ale względem Halki ma pewne obowiązki. Ona bez niego byłaby tak nieszczęśliwa, powiedziała mu kiedyś, że nie przeżyłaby opuszczenia!...

— Słusznie, byłoby straszną niewdzięcznością nie obdarzać uczuciem takiej istoty. Zatem masz we mnie siostrę czy przyjaciółkę, ale za to żonę swą kochaj szczerze i uczciwie.

Spojrzał na mnie zdziwiony z takiego obrotu rzeczy.

— Więc będziesz mi tylko siostrą! — westchnął.

Milczałam. Gdyby milczenie to dało się przetłumaczyć na dźwięki, znaczyłoby długi, ironiczny śmiech. Ale zarazem lekko mi było na sercu, nie ma bowiem nic strasniejszego nad niezdecydowanie, gdy każda chwila zacieśnia pętlicę sytuacji i dla wyjścia niesplamionego coraz mniej zostaje miejsca.

Konrad sądzi, że całe zajście ukryć należy przed żoną, bo gdy się dowie, wieczny żal do niego w sercu zachowa.

Jestem pewna, że się myli: znam lepiej Halkę i w ogóle kobiety. Porządna, kochająca kobieta mężczyzny

nie potępi, gdy chwilowy szął go ogarnie i pogoni za inną.

Ale tej innej za to — nie przebaczy nigdy.

Wykonałam ryzykowny krok, obawiam się jego następstw, ale zdawało mi się, że tak postąpić było moim obowiązkiem.

Napisałam do Halki list, objaśniając jej wszystko. Dodałam, iż byłoby nieszlachetnie, gdyby nie przebaczyła Konradowi; jeśli ma żywić żal, to tylko do mnie, która dawałam zbyt wiele wodze marzeniom w Harasimówce i rozpalałam gorącą wyobraźnię Konrada. Winę swą okupiłam długim bólem i czystością postępowania późniejszego. Niech go zabierze, niech z nim pracuje razem, niech go kocha jak dawniej i nie zważa na ten wypadek.

Ja już nie stoję między nimi.

* * *

Konrada dręczą zgryzoty, że Halka dowie się o wszystkim z boku i wiadomość ta może niebezpiecznie oddziaływać na jej organizm — spodziewa się bowiem wkrótce rozwiązania. Nie przewidziałam tej okoliczności.

Lękam się okropnie. Noc przepędziłam bezsennie, widząc przed sobą zrozpaczoną twarz Halki po przeczytania listu.

Czyżby zawsze w ślad za moimi najczystszyimi pobudkami iść miały nieszczęścia?

* * *

Odebrałam telegram — Halka jutro przyjeżdża.
Dzięki Ci Boże! Jestem pewna, że nastąpi między nimi
harmonia, jakiej dotąd nie było.

* * *

Starałam się przygotować Konrada do przybycia
żony. On jakby coś przeczuwał, wyrzekł, iż mnie będzie
zawdzięczał, jeśli zostanie spokojnym, pocziwym
małżonkiem. Jednocześnie wziął moją rękę, przyciągnął
do siebie i chciał pocałować.

Spojrzałam mu w oczy i spytałam: czy należę do
kobiet, które się znieważa?

Zmieszał się, a potem wpadł w gniew i zaczął
dowodzić, że jestem komediantka, bo mieszkam razem
z nim, a udaję mniszkę.

Uczułam niezmierny ból policzka, wymierzonego
przez istotę, która niegdyś była mi droga.

— Nie zrywaj białych róż brudnymi rękoma! —
rzekłam.

— Już cię ta krew moja poplamiała — zaśmiał się
szyderczo. — Już nie zmyjesz tych plam i palić cię one
będą zawsze. Wreszcie, po co się łudzić? Białe róże
rosną dla nas za wysoko!

— A czerwone za nisko...

Poszłam do swego pokoju i długo myślałam —
(śmieszne, nieprawdaż?), co czuje drzewo, gdy wiatr
jesienny zrywa mu liście...

Aż się zanosi od śmiechu, chyląc koronę na wszystkie strony: bo ten wiatr zrywa liście już zwiędłe, a co po nich? Niech lecą z wiatrem...

Ale drzewo śmiać się może, bo wie, iż na wiosnę okryje się nowymi, a serce ludzkie, obnażone z zieleni, schnie bez nadziei.

* * *

Konrad przywołał mnie do siebie, rozplakał się i rzekł:

— Daruj mi obelgę, którą ci wyrządziłem! Jestem zepsuty, kapryśny, zły! Tobie szczęścia nigdy dać bym nie mógł, lecz Halce — spróbuję! Wszystko, co lepsze w mej duszy, zwraca się ku tobie z podziękowaniem za to, co zrobiłaś dla mnie, a więcej jeszcze, iż nie będę miał na sumieniu tego dziecka. (Żonę swą zwykle nazywa dzieckiem. Żona-dziecko! Wydaje mi się to czymś nie do pogodzenia...).

Mimo wszelkich przejść bolesnych czuję się dobrze, bo stanęłam w zgodzie sama ze sobą.

* * *

(Na pensji).

Nie chciałam swą obecnością „męża oddzielać od żony”, więc przed przybyciem Haliny wróciłam na pensję. Od razu weszłam w tryb dawnych zajęć. Skąd

mi się wzięło tyle spokoju? Czy to płynie z poczucia obowiązku?

Obowiązek, to jedynie sztandar, który sam przez się zwyciężyć ani zapalić do czynu — niezdolny.

Do tego trzeba miłości. Do takiego zwycięstwa trzeba miłości samej siebie: nie umiałam i nie chciałam poświęcić swego porządku moralnego. Może kiedyś zwątpię w jego wartość — dziś go czuję i błogosławię.

* * *

Niespodziewanie odwiedziła mnie Halina. Stała we drzwiach i gdy podeszłam do niej, padła mi w objęcia z płaczem. Był to płacz szczęścia. Przepraszała za swój egoizm, dziękowała za poświęcenie, a mnie smutno było, że to „dziecko” znów może doznać zawodów.

— Ty go kochasz! — mówiła. — Ja wiem, ty go nawet lepiej kochasz ode mnie, ale ja silniej! Dlatego dobrze, żeś mi go oddała.

Śmiała się, a jednocześnie łzy płynęły po jej okrągłej, białej twarzy.

Biedne wy, kobiety! Miłość wasza jest rozlaniem swego ja w jego ja; jest to pokora niewolnicy; jest to płynięcie bez wiosła i steru za jego cieniem. Biedne wy i szczęśliwe! Bo pozbywacie się dumy osobistej i człowieczeństwa, ale za to zdobywacie coś realnego — macierzyństwo i wierzycie, że ten, który was całuje, jest Apollinem, i że dziecko będzie półbogiem.

Co do mnie, jestem kobietą nienormalną: miłość pojmuję jako przymierze do walki. Tym się objaśnia łatwość mej ofiary: Konrad jest ideałem w pierwszym określeniu, lecz tylko cieniem — w drugim.

Odkąd to sobie powiedziałam — byłam spokojna.

* * *

Byłam spokojna, aż do dnia drugiego. Wtedy porwał mnie jakiś potwór i zaczął ssać... Tak wyobrażam sobie głowonoga: jest to jedna głowa, a osiem duszących uścisków. Było to coś bladego, nieokreślonego a dławiącego.

Było to zwątpienie.

Bo walczyć, ale za co? Zwycięzać, deptać jedne uczucia, w imię jakich lepszych? Nie miałam na to odpowiedzi, albowiem nie było już ani nocy cichej, księżycowej, wiodącej do Bóstwa ani rozbitej rodziny, którą należało zjednoczyć.

Smutek i czczość wewnętrzna były tak silne, że nie czułam nawet syku gadzin. Gdy przyjechałam na pensję, wnet zbiegły się nauczycielki gromadą, aby mnie oglądać jak syrenę. W spojrzeniach czułam coś złowrogiego i drwiącego.

Potem przyszła do niego pokoju Stefka i opowiedziała wszystko. Kafarska rozgłosiła, że pod pozorem wyjazdu do domu przebywałam w hotelu z młodym mężczyzną.

Wiadomość Stefki obeszła mnie mało: wystarczy być uczciwą; poza tym co mogą obchodzić histeryczki i karlice?

(Potem zrozumiałam, że choćbyśmy czołem sięgali śnieżnych Himalajów — gady nie tracą swego przyrodzonego prawa: pełzać i kąsać...).

* * *

Ogromnie mi brak Mani. Nie wróci już na pensję, gdyż zakłada szkołę czteroklasową, aby utrzymać polskość na zalanych obcą falą kresach. Chce, żebym jej pomogła w tej pracy; zapewne zrobię to później. Tymczasem tęskno mi do niej, jak do istoty, która jedynie zdolną byłaby podtrzymać gasnącą moc i wiarę...

Kafarska, gdy mnie spotka, kłania się wyniośle i przechodzi. Inne unikają, szepcząc do siebie po kątach. Nawet wśród uczennic spostrzegam ciekawe spojrzenia i uśmiechy.

Ale najgorsze zaczęło się, gdy przybyli sprzymierzeńcy. Pani Courbet wleciała do mego pokoju jak zwariowana, obróciła mnie kilka razy w walcu i zaśpiewała jakąś wodewilową piosenkę. Potem zaczęła mówić szybko, że wzbudzam w niej szacunek i uwielbienie, że kto kocha, powinien nie dbać o cały świat, że ona też kochała i mieszkała z kimś przez parę miesięcy w wiosce jurajskiej.

— *Oh, je connais l'amour divin, je connais l'amour...*

Nim zdążyłam odpowiedzieć, pobiegła do innych nauczycielek i najbardziej obgadującym zapowiedziała, że oczy tej wydrapie, która złe słowo o mnie jeszcze powie. Bo obgadują przez zazdrość, a same z rozkoszą uczyniłyby to samo, tylko że na takie czupiradła nikt patrzeć nie chce...

Prosiłam Courbet na wszystko, aby już więcej mej sprawy nie broniła, bo tylko plotki rozjątrzy i uzasadni. Ale ona zasypała pocałunkami i obiecała, że jeśli kto w jej obecności na mnie krzywo mrugnie, da mu po twarzy...

Uczułam się bezsilną wobec tak zacieklej przyjaźni, przypominającej niedźwiedzia, który chcąc odpędzić muchę, siedzącą na czole jego przyjaciela, tak dzielnie uczestował ją głazem, że rozbił czerep na drzazgi.

Kto wie, gdyby mi tak zrobiono rzeczywiście, może byłabym wdzięczna. Tylko niestety, czaszka moja długo jeszcze będzie więzić myśli, które wiercą mózg i w nieskończonym tempie kołącą, dopraszając się odpowiedzi.

Bo po co ja żyję? Ale o to mniejsza, można żyć, nie zadając sobie tego pytania.

Ale czym było to uczucie, które mi sen odbierało i robiło pustkę tam, gdzie jego nie widziałam, a po którym teraz zostało tylko trochę spopieliałych wspomnień? Urojeniem? Zapewne, ale gdy urojenie znikło, czy jest lepiej? Miałam urojony cel, urojoną namiętność, jedno i drugie wymagało ofiar, walki, cierpienia... Ponośliam to wszystko i było mi przynajmniej znośnie, jeśli nie dobrze.

Zapełniałam sobie życie, a do tego niekoniecznie trzeba celów podniosłych i wartościowych. Czasem wystarcza dobro fikcyjne, jak na przykład sława; czasem kłamiące jak morfina; czasem wprost negatywne jak choroba, z którą się walczy i walka ta skupia całą naszą energię, staje się celem życiowym.

A ja nie mam nic — żadnych pragnień i żadnych celów.

Musi to być jakaś anemia duszy, na którą przyszli lekarze wynajdą zapewne jakiś środek hipnotyczny, jakieś poddawanie pożądań, ambicji, słowem tego wszystkiego, co się nazywa zdrowiem moralnym. Niestety, my barbarzyńcy, jeszcze nie znamy takiej ospy ochronnej. Dlatego choroba nas dziesiątkuje.

* * *

Dni w życiu ludzkim bywają czasem podobne do tych książek, o których nic więcej powiedzieć nie można nad to, że się je przeczytało. Z takich dni szarych i swą szarością przygniatających składają się lata długie, bezpłodne, mające jedyny objaw — starzenie.

Czyż doprawdy cały ten krzepki organizm, te kształty, o których ludzie mówią, że są wyrzeźbione, ten umysł, rwący się do światła, ta potrzeba wielka kochania, ta żądza życia i rozlewania życia naokół — czyż to wszystko rozwinęło się i żyje, aby zwiędnąć marnie jak beznasienne kwiaty? Zaiste, lepiej byłoby umrzeć za młodu, nim nastąpi ostateczne rozgoryczenie i ostateczne duszy zbłąkanie...

* * *

Nadchodzą Święta Wielkanocne. Zapach
pęczniejących pączków i ciepłe wiosenne powiewy
wlatują przez otwarte okna.

Nigdy jeszcze nie było mi tak beznadziejnie...
Wyobraźnia śpi, uczucia stłumione, tylko myśli jak
zamkowe strażnice błakają się z latarkami po zaułkach
duszy i oświetlają pajęczyny, kurze oraz cenne niegdyś
rupiecie, od których teraz bije stęchlizną.

* * *

Co wieczór odbywam lekcje z Zosią; uczy się
dobrze, przywiązana do mnie jak własne dziecko. Gdy
jestem smutna, co teraz prawie stałym jest objawem,
ona siada u nóg moich, zaglądając w oczy i całując po
rękach.

I czemu ja to piszę? Wszystko jest tak bezmyślne...

* * *

Niedziela.

Całe popołudnie błądziłam po polach i cmentarzu.
Byłam jak w lunatyzmie, nie wiedziałam, co się dzieje
naokół, czułam tylko coś okropnego, co przytłaczało mi
duszę.

Głowę wystawiałam na palące promienie słońca, aby się odurzyć; próbowałam się modlić, ale po paru słowach wybuchnęłam śmiechem, aż strach mnie ogarnął przed samą sobą.

Potem — co ja robiłam? Ach, tak — pisałam coś w notesie... Ledwo odczytałam te smutne, dziwaczne, poplątane słowa. Jeden urywek przepisuję:

*Idę na cmentarz, gdzie krzyże czernieją,
Tam wśród grobowców i umarłych grona
Może się moja dusza załzawiona
Przejmie niebytu i ciszy nadzieją,
Może zmęczoną wśród życia zmienności
Uśpi tam powiew ją — nieskończoności.
Na próżno — jakiś niepokój mną targa —
Jak gdybym czuła Samumu zbliżenie,
Gdy śmierć wygląda słodko jak zbawienie;
Niepokój gorszy niż bolesna skarga!
W bólu jest życie — cierpienie się zdwaja,
Bolące serce ma — jak harfa — struny,
Na których wichry grają i pioruny,
Tworząc pieśń ducha, co silnych upaja.
Lecz serce moje — to jak cicha urna,
W której jedynie popioły szeleszcą,
Ale nie zagra w nim melodia górna
Ani nie zadrży tragedia złowieszcza...
Nic nie przeklina, lecz i nic nie kocha;
Niczego nie chce — obce mu nadzieje...
Oh, coś tam strasznie, beznadziejnie szłocha —
Cicho, to dusza moja tak się śmieje.*

* * *

Stefka radzi mi opuścić pensję i wyjechać na wieś. Chętnie to zrobię.

Nie wolno straszyć ludzi ponurym wyglądem i nie grać wraz z wszystkimi smutnej farsy, której tytuł: „Powaga życia”.

Powaga — to wielkie słowo! Głupcy je szanują, tłumy przed nim się korzą, mędracy nim gardzą.

A ja, która nie jestem ani głupią, ani mędrcom, a z tłumu mnie wypędzono, czuję — znużenie...

* * *

Wymówiłam miejsce przełożonej.

Za dwa miesiące wyjadę na wieś i ulegnę katalepsji. Piaski, drzewa, dobroduszne twarze i plotki sąsiedzkie — to przytłumi, uśpi i znieczuli.

* * *

Przyszedł raz Staszecki, gdy siedziałam sama w gabinecie chemicznym i patrzyłam bezmyślnie na cyjanek potasu, którego przed chwilą używałam do jakiejś reakcji.

Zapalił milcząc papierosa i rzekł zwolna:

— Jak się zdaje, myśli pani o wybawicielu.

Fałszywy apetyt! Ja też miewam czasem coś

podobnego, ale uważam to za błędny kierunek dobrego dążenia.

— Gdy nie ma celu, wszystkie kierunki są błędne lub wszystkie dobre — odrzekłam.

— To paradoks. Cel istnieje mimo naszej woli i z nią lub bez niej zmierzać doń musimy.

— A tym celem?

— Życie.

— Ja widzę drugi: nicość.

— Niech pani unika tego wyrażenia. Przede wszystkim jest ono niefilozoficzne, po wtóre źle zastosowane. Nudę lub zmęczenie, jakie nas chwilowo ogarnia, nazywamy pragnieniem nicości, gdy jest to właśnie pragnienie życia, płynącego falą szeroką, rozlewną...

— Tak, lecz skąd wziąć fali tak szerokiej, aby cała dusza zmieścić się mogła?

— Nie jestem metafizykiem, więc bez nadmiernych subtelności odpowiem, że każde szlachetniejsze i wyższe uczucie stać się może źródłem dla takiej rzeki; tylko nie trzeba płynąć po piaskach bezpłodnych, a wysysających. Niech pani pokona chwilowe znużenie, będzie z pani dzielna, mocna dusza. Ja wierzę w panią!
— dodał.

— Zatem mam kogoś, kto we mnie wierzy! To dużo, to nawet za wiele... łatwowierności. A jednak... jest mi to przyjemne.

* * *

Wszelkimi siłami (za radą Staszeckiego) staram się bronić przeciwko apatii, która mnie przytłacza, ale na próżno.

Czasem doznaję wrażenia, jak gdybym szła po torfowisku, które zwolna zapada, nogi grzęzną w błocie; gdy jedną z nich wydobędę, druga zanurza się tym głębiej, wreszcie cała kępa wraz ze mną tonie, ogarnia mnie ciecz miękka, wstrętna, sklepienie zamknęło się nad głową, cisza...

Nie mogę znieść liczniejszych zgromadzeń; zgiełk wszelki mnie razi. Czasem jakaś osoba na ulicy, obca zupełnie, takim mnie przejmuje obrzydzeniem, że muszę przejść na drugą stronę. Doktor twierdzi, że jest to zdenerwowanie i nic więcej. Bardzo być może.

Gdy ojciec mój nagle skończył, doktor mnie pocieszał:

— Ależ, kochane dziecko — byłam wtedy jeszcze mała — nie smuć się! Żyłka pękła, to każdemu zdarzyć się może!

* * *

Odebrałam od Stefka list bardzo smutny: stypendium obiecane nie dostał, wątpi w swoje zdolności, wyrzuca sobie, że mi jest ciężarem. Chce porzucić uniwersytet i iść do biura. Strasznie mnie to dotknęło.

Odpisałam, że nie wolno mu wpadać w zniechęcenie, bo przed nim jeszcze droga długa, pełna skutecznej, może wielkiej pracy. Niech się nie oburza

na omyłkę czy niesprawiedliwość ludzi — i bez nich damy sobie radę. Od czegoż posiada siostrę?

On nie domyśla się nawet, jakim niepodobieństwem byłoby dla mnie dłużej błąkać się po świecie bez tego przekonania, iż jestem komukolwiek potrzebna i użyteczna. Cały list mój był taki zdrowy, taki pełen wiary i zachęty, że mnie samej lżej i lepiej się zrobiło. Kto wie, może i ja cel znajdę, jak gwiazda biegunowa, niezmienny wśród wiecznych oscylacji mej duszy...

* * *

Przełożona bywa coraz częściej cierpiąca. Miewa tak straszne migreny, że trwają dniami całymi i czynią ją prawie nieprzytomną.

Nic dziwnego, od lat dwudziestu jest przedmiotem nienawiści bogów, czyli mówiąc nowożytnie: zajmuje się pedagogią. W naszych warunkach jest to praca Syzyfa.

Miałam dziś czas wieczorem i poszłam ją trochę rozerwać.

Dziękowała mi serdecznie. Rozgadałyśmy się jak dwie przyjaciółki. Zapytywałam, czemu nie poruczy swych zajęć komuś innemu, jeśli one odbierają jej zdrowie. Odrzekła, iż gdy ona ustąpi, pensję pod lada pozorem mogą zamknąć.

Zbyt dobrze znałam stosunki, aby nie ocenić całej grozy położenia.

Przełożona ma za sobą osobistą tradycję i wielką powagę, z którą się muszą rachować; mimo to pensja doznaje od władzy szkolnej coraz więcej przykrości. Inspektor zjawia się co dni parę, w tornistrach uczennic szuka podręczników do historii polskiej, wszystkie miejsca wolne obsadza Rosjanami.

Jeden z nich, nauczyciel języka rosyjskiego, nieokrzesany grubianin, wyprawia ciągłe sceny nauczycielkom i uczennicom. Jeżeli która z uczennic nie wyrecytuje bez zająknięcia wszystkich tytułów J. C. Mości oraz jego rodziny (we wstępnej klasie wyuczenie się ich zajmuje pół roku czasu) albo omyli się w dacie urodzenia jednego z wielkich książąt — dostaje zły stopień na cenzurę.

— Ojca swego i domu swego możesz nie znać, ale cesarza i jego rodzinę znać musisz! — głosi ten natchniony apostoł oświaty.

Wczoraj miał odbywać egzamin w piątej klasie. Nie przychodzi na czas o godzinie dziewiątej, czekamy — mija wpół, potem dziesiąta, jedenasta, kilku posłańców z listami szuka go po mieście, wreszcie koło południa zjawia się, jak u nas mówią: „zawiany” — blady, z napuchłą twarzą i niepewnym spojrzeniem.

Jąkając się, przeprasza przełożoną za spóźnienie: troszeczkę zasnął, przyjaciel „podlec” go nie obudził, był niezdrów, ale — *eto puściaki!* — dodaje na uspokojenie tych, co by zbyt lękali się o jego życie.

Przełożona, milcząc przyjęła wyjaśnienie, tylko się odsuwała, bo zapach spirytusu bił na trzy łokcie.

2 czerwca, niedziela.

Poszłam dziś sama do parku i spotkałam Staszeckiego. Szedł zamyślony, spostrzegł mnie, gdym już przechodziła. Usłyszałam, jak przystanął i zaczął dopędzać. Odwróciłam się szczerze zadowolona, że mieć będę na przechadzce towarzysza. Ale był małomówny, wyglądał na zdenerwowanego.

Zapytałam, co mu jest. Zdjął kapelusz, wskazał na siwiejące włosy i rzekł gorzko:

— Włos każdy siwieje, czuję zgon każdego włosa.

Rzeczywiście, w przeciągu kilku ostatnich tygodni Staszecki posiwiiał.

Chciałam okazać mu współczucie i może pomóc w smutku, którego powodu z lekka się domyślałam. Sądziłam, że idzie tu o Manię, która odwzajemniała się Staszeckiemu sympatią. Mówiłam długo o jej niesłychanie dzielnym charakterze i wyższym umyśle — zbywał mnie półsłówkami, zdawał się przysłuchiwać z grzeczności. — Wtedy przeszłam bezpośrednio do niego samego i powiedziałam, iż powinien raz wreszcie ustalić sobie byt rodzinny.

Zaśmiał się i pokazując ręką drzewo, spytał:

— Czy z tą wierzbą?

Byłam urażona za Manię. Odrzekłam sucho, że jeżeli ktoś wierzbę pokochał, powinien starać się o jej wzajemność.

— Pyszna recepta! — zawołał — szkoda tylko, że stoją na przeszkodzie ukraińskie rzeki...

Nie rozumiałam aluzji. Wszakże Mania pochodzi z Polesia — i w ogóle, co mają z nią wspólnego rzeki?

Rozmowa przeszła na tor inny, mówiliśmy o swych znajomych. Staszecki nagle wspomniął nazwisko Konrada.

— Pan go znasz? — spytałam żywo.

— Mój kolega szkolny. Wygląda pani, jakby niezadowolona z tej wspólnej znajomości...

Świdrował mnie oczyma, czułam, że się rumienię, ale wnet odzyskałam spokój: choćby wiedział wszystko, cóż w tym dla mnie hańbiącego?

— Nie spodziewałem się nigdy — zaczął znowu — żeby pani była tak przykładną siostrą miłosierdzia.

Z tonu sądzić nie mogłam, czy mówi ironicznie lub serio.

— Panie Adamie — rzekłam — nie wiem, w jaki sposób stałeś się właścicielem pewnych tajemnic — proszę, nie wspominaj dni, które przeszły!

— Czy w dniach dzisiejszej niedoli wspomnienie ich tak jest przykre?

Spostrzegłam, że próbuje badać. Jakim prawem?

— Panie — rzekłam zimno — są wspomnienia, których dotykać pozwalamy tylko bliskim!...

Odprowadził mnie do domu więcej jeszcze milczący.

Przykro mi, jeśli go uraziłam — jutro to powetuję...

(Tegoż dnia).

Czytałam przez kilka godzin. Za chwilę położę się spać. Doznaję dziwnego wrażenia jak wtedy, gdy przed zmęczonymi oczyma skacze bezustannie czarny punkcik. O czymkolwiek zaczynam myśleć, staje mi przed oczyma blada twarz Staszeckiego i świdrujące oczy. Czyżbym się lękała jego podejrzeń? Śmieszne to, a jednak...

Podejrzanie, jak przylepiona do ciała smoła, nie sprawia właściwego bólu, ale męczy, denerwuje tak, że nareszcie chwytamy paznokciami skórę i zdzieramy do krwi...

* * *

Stefka wychodzi za mąż! Powiedziała mi to w tajemnicy, ale jednocześnie pani Courbet, tamta pod sekretem którejś znów i w jednej chwili cała pensja dowiedziała się o tym znamienym wypadku.

Stefkę otaczają, winszują — pół żartem, pół serio. Jeden Staszecki nie ukrywa ironii. Stał się tak drwiący i żółciowy, że niepodobna trzech słów z nim zamienić. Stefce gorąco winszował, bo małżeństwo jest doskonałym środkiem na wytepienie inteligencji: amputuje głowę, a przedstawia bocianie gniazdo.

Na to Stefka:

— Mówi przez pana zazdrość — biedny pan! Nie mieć żadnego kochającego serca!

— Zlituj się pani i nie lituj się nade mną! — odrzekł z nagłym wybuchem niecierpliwości i wyszedł z pokoju.

Rzeczywiście Stefka wygląda, jakby dla nas wszystkich miała wielkie politowanie, taka jest rzewna, cicha, w spojrzeniu słodka.

Nigdy bym nie przypuściła, aby ów jakobin zdecydował się na tak ryzykowny krok.

A jednak — najformalniej, w białych rękawiczkach oświadczył się Stefce.

Za miesiąc skończy uniwersytet, za pół roku się pobiorą i zaraz wyjadą na prowincję, gdzie młody doktor ma już obiecaną posiadłość.

Stefka roi czarowne widoki na przyszłość: domek winem obsadzony, ogródek, w którym będzie sadzić malwy, bratki...

— Kapustę, pietruszkę — dodałam.

— Naturalnie! Utrzymanie porządku w pokojach, w kuchni, wszystko to zapełni dzień, wieczorem zaś głośne czytania...

— A dzieci? — spytałam.

— Nie dokuczaj mi! — prosiła — a wreszcie mów, powtarzaj, ja sama ci powiem, że chcę mieć dzieci, chcę mieć rodzinę, ty i Mania macie inne usposobienia: zimne, abstrakcyjne!

— A Sakia-Muni? Czy nie wytoczy procesu dawnej prozelitce?

— Odeślę go do ciebie, powetuje sobie stratę stokroć — odrzekła nadąsana. (Już nawet dąsać się nauczyła, z czym jej bardzo do twarzy). Ale rozjaśniła się zaraz i znów zaczęła opowiadać o małym dworku z winem (albo z *clematisem* — lepiej z winem!), o

Stachu, którego będzie surowo trzymać, choć i bez tego będzie on porządnym mężem i dzielnym doktorem...

Jakie to sielankowe, nieprawdaż? Nawet bardzo żartować nie można z takich prostych, szczerych i dobrych uczuć!

* * *

Było dziś nowe zajście na pensji.

Inspektor znalazł u jakiejś przychodniej egzemplarz historii polskiej (cenzuralny), zwymyślał całą klasę, nauczycielkę, potem wpadł do gabinetu przełożonej i przysięgał na honor, że zamknie pensję.

Przełożona natychmiast pojechała do kuratora i wytłumaczyła mu, że nie może być odpowiedzialną, jeśli która z uczennic przyniesie ze sobą książkę, nienależącą do przepisanych podręczników, notabene cenzuralną.

Kurator wysłuchał sprawy bardzo grzecznie, ale powiedział na odchodnym:

— Jak dotąd świetnie udaje się pani bronić swego patriotycznego posterunku. Ale co będzie dalej?

Tak, co będzie dalej?

Są u nas ludzie nieuleczalni, ślepi, którzy sądzą, że lojalność i zachowywanie wszelkich przepisów prawnych uwolni od niebezpieczeństwa utraty urzędu lub możliwości prywatnego zarobkowania, od wywiezienia drogą administracyjną lub zamknięcia w cytadeli. Ci ludzie nie rozumieją tego, niesłuchanie prostego objawu w dziedzinie niższych instynktów:

„Chcę ciebie zjeść nie dlatego, żeś przede mną zawinił, ale że czuję apetyt”.

Wobec tego staje się zrozumiałam, dlaczego stanowisko i zajęcie polskiego stróża, polskiego kancelisty, polskiego nauczyciela jest uważane za „posterunek polityczny”, który należy znieść w imię instynktu.

Przełożona, mimo groźby zawartej w delikatnych słowach kuratora, nie traci spokoju; powiedziała do mnie:

— Będziemy pracować, póki nam pensji nie zamkną.

— A wtedy? — spytałam.

— Zajmiemy inny posterunek i będziemy pracować dalej, póki nas nie zgniotą zupełnie.

Czułam się porwaną tymi słowami, a jednocześnie upokorzona: „będziemy pracować”, a ja z tych szeregów występuję... Cóż robić? Jest coś silniejszego nad obowiązek, honor, miłość idei narodowej, a tym fetyszem wszechwładnym są zmęczone nerwy.

Inspektor dziś (znów!) przyszedł bardzo ugrzeczniejszy, uzalił się nad przełożoną, że ma tyle pracy i kłopotów — a potem odwiedził drugą klasę; kazał zmówić modlitwy, zadeklamować z uczuciem i zrozumieniem *Boże Caria chrani*, nareszcie zapytał którejś:

— Kto to jest Rosjanin?

Gdy uczennica, drżąc z przerażenia, żeby nie powiedzieć czegoś niestosownego, milczała — inspektor nalegał:

— No, powiedz, powiedz, *gołubuszka*, kto to jest Rosjanin?

— Człowiek — odrzekła niepewnym głosem delikwentka.

— *Wot głupost!* Ale dla ciebie, dla was, kim jest Rosjanin?

A gdy znów milczała ze spuszczonej oczyma:

— Brat — rzekł łagodnie — brat, wasz brat!

Nieszczęście chciało (bo u nas nieszczęściem jest wszelki wyraz żywszych ludzkich uczuć), że jedna z uczennic wzruszyła na to braterstwo ramionami.

Inspektor – „brat” stał się nagle zielony, przyskoczył do biednej dziewczynki, pienił się ze złości, tupął nogami i kazał jej postawić dwójkę z rocznego sprawowania. Działo się to w mojej obecności, w mojej klasie!

Gdyby nie obawa narażenia pensji na zamknięcie, kazałabym temu panu wyjść za drzwi.

Ale musiałam milczeć i zaciskać zęby.

A teraz płaczę i ból mną targa niezmierny...

*Jeruzalem! Jeruzalem! Biedna ziemi ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem,
To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!*

* * *

O przyszłości mojej zadecydowali malcy.

Odbywałam dziś zwykłe, sobotnie czytanie, którego słuchają jednocześnie trzy niższe oddziały: miało być ostatnie w tym roku. Wybrałam wzruszającą opowieść Amicisa o chłopcu, który potajemnie dopomagał ojcu w przepisywaniu, przesiadywał nieraz całymi nocami, co naturalnie odbijało się niekorzystnie na jego zdrowiu i postępach w nauce; ojciec zaczął być dla niego surowym, karmił ustawicznie za lenistwo, aż pewnego razu zastał syna, który z czerwonymi od zmęczenia oczyma, blady siedział nad plikiem papierów i pisał.

Dziewczynki słuchały z niezmiernym zaciekawieniem, większość łzy miała w oczach. — Gdy skończyłam, wywiązała się dyskusja o cichym bohaterstwie.

Trudno uwierzyć, ile gorących uczuć, ile skłonności do poświęcenia żywią te małe dziesięcio- lub dwunastoletnie kobietki! Z jakim entuzjazmem mówią o czynach bohaterstwa, które znały ze słyszenia lub naocznie!

Posypały się opowiadania: jedna widziała pastuszka na wsi, który cały swój obiad oddał żebrakowi; druga (poetka, jak ją nazywają towarzyszki) opowiedziała przerywanym od wzruszenia głosem historię starego tragarza na stacji kolejowej, który ciężką pracą utrzymywał troje wnucząt. Raz dźwigał jakiś wielki ciężar, potknął się i upadł. Ciężar przygniótł mu piersi i połamał zebra. A on, umierając, rozpaczał tylko nad tym, że jego wnuczeta zginą z głodu!

Wtem jedna się odezwała:

— Zosia to też bohaterka!

— Dlaczego? — spytałam zdziwiona.

— Ach, co te małe plotą — przerwała moja nieodstępna trzecioklasistka, oblewając się całą pąsem.

— Niech pani jej nie wierzy — odezwała się rezolutna Mikulska — Zosia od pół roku pomaga w lekcjach wstępniaczkom; ma trzy uczennice i to jej zajmuje co dzień godzinę rekreacyjną.

— Dlaczego ukrywałaś się z tym przede mną, Zosiu? — spytałam.

Milczała, potem rzekła:

— Bo w tym nie ma żadnej zasługi, to sprawiało też mi przyjemność!

Trzy małe dziewczynki powstały i serdecznie ją uścisnęły. Były to niegdyś bardzo słabe uczennice, obecnie mają zapewnioną promocję. Po skończonej godzinie cały tłum dziewczątek otoczył mnie i z wesołymi okrzykami wołał:

— Do widzenia! Na rok przyszły znów będziemy z paniusią czytywały takie śliczne rzeczy.

— Czy nie wiecie — odezwała się smutno Zosia — że pani od nas odjeżdża na zawsze?

— Na zawsze? Odjeżdża? — zdziwiły się towarzyszki i zachmurzyły, gotowe do łez.

— Dlaczego pani nas opuszcza? Dlaczego?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. A tymczasem cały ten wieniec dziecinnych postaci o twarzyczkach anielskich wpatrywał się we mnie z wyrzutem i niekłamany żalem.

— Pani jest chora! — rzekła Zosia.

— Chora? — zaczynały się dziwić i przerażać maleństwa. — Chora? A myśmy o tym nic nie wiedziały! To pewno z naszego powodu! My już będziemy dobrze się sprawować, tylko niech paniusia zostanie, moja złota! — prosiły.

— A będziecie mnie kochały tak samo jak teraz? — spytałam, ocierając ukradkiem łzy.

— O tak! My tylko mamy nasze tak kochamy jak paniusię.

— A więc zostanę, moje dziewczątka! Mnie też byłoby żal was opuszczać.

Kilkanaście ramionek objęło mnie, kilkanaście ust poczułam jednocześnie na twarzy i rękach, a Zosia, która stała na uboczu, rozplakała się i wybiegła.

Potem, mówiąc mi dobranoc, szepnęła:

— Paniusiu, ja też będę nauczycielką, dobrze?...

Moje wy dzieci kochane! Wy moje — naprawdę moje!

Zostanę, naturalnie, że zostanę. Tylko i wy zostańcie nadal tak dobrymi. Niech pierwszy bal i piąta klasa nie zrobią z was ptaszków, muskających swe piórka!

Ale żeby to nie nastąpiło, trzeba nad wami czuwać. Więc będę!

* * *

Staszecki, gdy mnie dziś spotkał, pogładził swą piękną brodę i z boleśnie ironiczną miną rzekł:

— Pozwoli pani przynajmniej się opłakiwać, gdy nasze miasteczko zostanie przez nią osierocone?

— Skąd pan wie, że dłużej nie będę na pensji?

— Ulicznicy już o tym piosenki wyśpiewują!

— Że też panu wszystko zawsze wyśpiewać muszą...

— To los tych, którzy mają uszy. Dla mnie wystarcza być obserwatorem. Jest pani wesoła i spokojna, zatem można oczekiwać jednej z owych miłych kobiecych niespodzianek, po których porządne masculinum błogosławi króla Niebios, że go nie stworzył: „ani kamieniem, ani rośliną, ani zwierzęciem, ani niewiastą”.

— Rzeczywiście, jesteśmy zaledwie trochę mniej zmienne niż mężczyźni.

— W skutku tego?

— Pańskie wiadomości uliczne oraz obserwacje warte są tyle, co jego błogosławieństwa.

— Jak to, więc pani pensji...

— Nie opuszczam, oto wszystko.

Staszecki zrobił ruch nagły, jakby mnie chciał uściskać. Aż się zaśmiałam w duszy. Poszłam do przełożonej. Patrzyła zamyślona w okno, nie słysząc drzwi otwieranych. Spostrzegłszy mnie, powstała i rzekła:

— Cóż, pani Amelio! Za tydzień wyjedziesz od nas na zawsze... Przyjmij ten drobiazg na pamiątkę wspólnej pracy — i podała mi w złoto oprawną miniaturę Klementyny Hoffmanowej.

— Chciałam panią prosić o wielką łaskę...

— Może chcesz wyjechać wcześniej? Jesteś zmęczona... Dobrze, my cię zastąpimy, moje dziecko...
Coś mnie w gardle ścisnęło.

— Ależ przeciwnie, chciałam prosić, byś mi pani pozwoliła zostać dłużej na pensji!

Patrzyła na mnie długo, wreszcie rzekła:

— Rozważ, czy nie będzie to nad twoje siły?

— O, nie sądź pani z mego poprzedniego stanu duszy! Gdy trochę odpocznę na wakacjach, dowiodę, jak jestem silna i wytrzymała.

Uścisnęłyśmy się serdecznie, łza jej spadła na moją twarz.

— Da Bóg — rzekła — że będziemy się bronić jeszcze długo!

* * *

Kafarska dowiedziała się, że zostaję i załamana nade mną ręce.

— Nieszczęsna! Zrujnujesz zdrowie, będziesz wyglądała jak cień! Nam zostaw tę niewdzięczną pracę! My tylko znieść ją potrafimy — deklamowała melodramatycznie.

— A jakiegoż eliksiru zdrowia używa pani?

— Odpowiadasz impertynencją na rady, płynące z serca. Więc zostań, zostań! Zaznawaj tutejszych rozkoszy, ale przekonasz się, że nie jest tu tak przyjemnie jak w hotelu...

Za nami stała przełożona. Kafarska, gdy ją spostrzegła, urwała i zaczerwieniła się.

Chciałam wyjść, bo łązy mnie dusiły. Przełożona zatrzymała:

— Panno Amelio, czy nie byłabyś łaskawa objąć od przyszłego roku zajęć administracyjnych zamiast lekcji popołudniowych?

— Nie wiem, czy podołam — odrzekłam.

— Dałaś tego dostateczne dowody. Wzbudzasz szacunek w każdej uczciwej, znającej cię osobie. Czy nie tak, proszę pani? — zwróciła się do Kafarskiej.

— Ależ tak, tak! Panna Amelia taka młoda, a cieszy się ogólnym powodzeniem.

Była to złośliwość, na którą i teraz odpowiedziałam milczeniem.

„Idź swoją drogą i pozwól mówić ludziom”.

Dziś był popis. Wypadł świetnie. Zosia dostała list pochwalny. Przysłany z okręgu naukowego dostojnik wyraził podziw, że uczennice robią tak wielkie postępy. Wszyscy w brylantowych humorach.

Po skończonej uroczystości zostałam wezwana do salonu.

Staszecki wyświeżony, z różami na piersiach, podskoczył do mnie i uścisnął rękę.

— Racz pani przyjąć te kwiatki — rzekł, podając wspaniałą bukiet storczyków.

— Ależ panie... — zaczęłam.

— Czy ma pani już miejsce na wakacje? — przerwał szybko.

— Dotąd nie.

— A więc może pani przyjmie o pół mili od Nałęczowa, do jednej dziewczynki; kwota stu rubli.

Ludzie zacni, znam ich doskonale, dom przyjemny, odpocznie pani świetnie...

— Dziękuję panu.

— Jak to! Nie chcesz pani przyjąć? Dlaczego? Proszę samej oznaczyć warunki!

— Przecież jeśli panu dziękuję, to znaczy, że gotowam przyjąć i być wdzięczną za jego pomoc. A pan, co z sobą robi przez lato?

— Co do mnie, proszę pani, doktorzy ostatnią nerwową kurację kazały odbyć...

— Może w Nałęczowie?

— Zgadła pani. — Zrobiłam poważną minę. — Tylko niech pani nie sądzi, że to jaki fortel uknuty!

— Obawiam się, że nie będę mogła miejsca tego przyjąć.

— Ponieważ? — wycedził powoli.

— Ponieważ nie chcę rozstać się z Zosią. Chyba, że ci państwo dadzą mi połowę oznaczonej sumy, a w zamian pozwolą, bym ją wzięła z sobą.

— Cóż to — zaperzył się — moich krewnych uważasz pani za spekulantów? Będą szczęśliwi, gdy dla swej córki zdobędą towarzyszkę.

— A więc wszystko w porządku, jutro mogę wyruszyć.

— Tylko — zaczął się uśmiechać złośliwie — tam nie ma rzek romantycznych! — Niestety, gdyby nawet były, pedantyzm pewnych nauczycieli przerobiłby je na trotuary. Pedanci dowiodą pani...

— Że umieją ofiarować piękne bukiety i kochać swój naród... Za pierwsze ich się lubi, za drugie... szanuje.

Podaliśmy sobie ręce, serdecznie, po przyjacielsku.

* * *

W sierpniu.

Z dziwnym uczuciem przejrzałam te kartki. Nieświadomie złożyłam w nich kawałek swej duszy. Tylko kawałek i to byłej. Obecnie jestem już inna: doświadczeńsza, a więcej młoda; silniejsza, a mniej złożona. Wiele z tego, co dawniej tylko odczuwałam, dziś rozumiem. Życie! Ty jesteś jak otchłań morza, w którą im głębiej zstępujemy, tym prościej przedstawiają nam się twory i zjawiska życiowe, a jednocześnie tym większą czujemy nad sobą potęgę bezmiaru...

Trudno mi pisać: rechotanie żab z dalekich dolatuje stawów i wśród ciszy nocnej wydaje się przygrywką do snu. Ale gdy skupiam wszystkie wrażenia: tych gwiazd, miliardami rozsypanych po niebie, w wiecznym biegu spełniających wyznaczoną drogę; i tych drzew, głęboko zadumanych; i tych chat wieśniaczych, gdzie śpią zmęczone ludzkie mrówki — słyszę drugą, wielką przygrywkę — do życia...

* * *

Staszecki od tygodnia przebywa na wsi, jutro odjeżdża.

Przed wieczorem, jak zazwyczaj, wyszliśmy na przechadzkę, tym razem daleką, bo aż na wiejski cmentarzyk.

Naturalnym biegiem myśli rozmowa przeszła do tematu istnienia pozagrobowego. Staszecki, posiadający rozległą wiedzę przyrodniczą i matematyczną, mówił niezwykle zajmująco o granicach poznania ludzkiego, o względności naszej wiedzy i o tym *a priori*, które tkwi w ujmowaniu wrażeń i tworzeniu pojęć ogólnych.

„Ewolucja ducha na ziemskim globie prowadzi z konieczności umysł nasz poza szranki doświadczenia i tam każe przypuszczać dalszy ciąg tej ewolucji.

Hipoteza ta da się uzasadnić z równym prawdopodobieństwem jak ewolucja w świecie organicznym, jak teoria Kanta i Laplace’a...”

Na uboczu od cmentarza spostrzegliśmy karete. Zdziwiło to nas, bo cmentarza tego nikt prawie nie odwiedza, jako z dawna opuszczonego. Wahaliśmy się, czy wejść, nie chcąc zakłócać modlącym skupienia, ale Zosia i jej towarzyszka patrzyły tak błagalnie, że Staszecki uchylił furtki. Cmentarz ten ma parę wieków przeszłości. Pełno w nim zieleni, starych olbrzymich klonów, jodeł, brzoź; pełno kwiatów i zapachu nigdy niekoszonej trawy. Lubię go jak starą kronikę, jak granitowego sfinksa o grzywie lwa, piersi kobiecej i mądrych oczach. Próżno staraliśmy się dostrzec kogokolwiek.

Nagle w cieniu czterech cyprysów, owitych bluszczem, ujrzeliśmy postać kobiecą. Aksamitny płaszcz walał się na piasku, a ona przyłgnęła piersią do białego marmurowego krzyża. Był to grób pułkownika z roku 1863. Usłyszeliśmy nietłumione łkanie, a potem przejmujący wykrzyk:

— Spotkamy się za grobem, prawda, mój ojczy, że się spotkamy!

O siostrze! Niechaj te słowa, płynące z głębi kochającego, miłością mądrego serca, będą jasnovidzeniem, które tobie ulży w boleści, a mnie da moc do prowadzenia życia dalej...

Wyszliśmy niepostrzeżenie.

Słońce zaszło; purpurowe morze rozlało się na horyzoncie; nieuchwytna smuga zielonkawego seledynu dzieliła je i zarazem łączyła z ciemniejącym granatem nieba.

Ogarnął mnie jakiś mistycyzm i zdało mi się, że ta purpura w dole — to nasze życie, pełne walki; ta jasna, eteryczna zieloność, to nadzieja przyszłości, a dalej ten szafir, to już wieczność...

Z zamyślenia wyrwała nas rozmowa dziewczynek, które zwierzały się wzajemnie ze swych projektów.

Helenka lubi gospodarstwo i marzy o tym, aby matce dorównać i wyręczyć; Zosia pragnie zdobyć dużo wiedzy, stać się cierpliwą i wytrwałą, aby uczyć dzieci.

— Oto nawet taki drobiazg — odezwał się Staszecki — myśli o przyszłości, a my się o nią nie troszczymy.

— Owszem — odrzekłam — wciąż jestem zajęta myślą o niej.

— Czymże ją pani chce wypełnić?

— Rozrostem swych sił w walce.

— A gdy nastąpi znużenie?

— O, to daleko jeszcze, dopiero się odnalazłam, dopiero jestem sobą, dopiero zaczynam żyć. Czas odpoczynku przyjdzie później, gdy spełnię swoje zadanie i wychowam zastępczynię: Zosię.

— A wtedy zgodzisz się zostać moją żoną?

— Dobrze.

Wzjął moją rękę i przycisnął do ust.

Zbliżyliśmy się do domu.

Przez dąbrowę szła gromada włościan, pobrzękując kosami; jedna z dziewcząt, niosących sierpy, silnym, czystym głosem nuciła, aż się echo rozlegało po zagajach.

Nagle Staszecki przystanął:

— Niech się pani przysłucha słowom tej piosenki:

Wysoko, daleko

Listek na jaworze,

Kto się w kim zakocha

Dopomóż mu, Boże!

— Biorę to za dobrą wróżbę — rzekł radośnie.

— W takim razie ja za drugą, bo pierwszą już miałam tam na cmentarzu: „spotkamy się za grobem”.

— Ale i w życiu — zastrzegł.

— I w życiu — potwierdziłam.

Tadeusz Miciński
Nauczycielka

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-285-2

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl